

IF CIVILIZATION WERE DESTROYED TODAY —
WOULD JOHN THOMAS ROURKE BE ABLE TO SURVIVE...?

THE SURVIVALIST

THE SAVAGE HORDE

#6



BY JERRY AHERN

JERRY AHERN

BESTIALSKI SZWADRON

CYKL: KRUCJATA TOM 6

(PRZEŁOŻYLI: MARIAN GIELDON, FRANCISZEK PLUTOWSKI)

Dla Fran Hood - przyjaciela i podpory całej rodziny Ahernów - ze specjalnym pozdrowieniem...

ROZDZIAŁ I

John Rourke rozsunął zamek błyskawiczny kurtki i sięgnął po ukryty pod pachą pistolet. Szybko rozpiął kaburę, wyciągnął swoją „czterdziestkę piątkę”, załadował cały magazynek, odbezpieczył broń i wygodnie ułożył w dłoni. Sięgnął po drugi pistolet. Wykonał te same czynności i czatował.

Cel miał już upatrzony: wysokiego mężczyznę w czarnej, skórzanej kurtce przybrudzonej błotem, z karabinem w rękach.

„Trzeba go czym prędzej załatwić, zanim się zorientuje, że nie jest w lesie sam” - pomyślał.

Wystrzelił jednocześnie z dwóch pistoletów. Echo strzałów złało się w jeden, przeciągły huk.

Chociaż Rourke był pewien swej celności, rzucił się na ziemię, aby uniknąć ewentualnego ataku.

W miejscu, gdzie padły kule, grunt wydawał się eksplodować - podmuch wzniósł w powietrze brudne, zeschnięte liście i tumany kurzu. W tym kłębowisku zdołał dostrzec, że facet zatoczył się, padł na rosnącą obok sosnę i trzymając się pnia, zsuwał się w dół. Wreszcie zastygł nienaturalnie wygięty, kolanami wsparty o podłoże. Z rąk wypadł mu karabin.

Dopiero wtedy podbiegł do zabitego, trzymając cały czas pistolety na wysokości bioder, gotowe do strzału. Pamiętał, że tam, gdzie znajduje się jeden bandyta, w pobliżu jest ich zazwyczaj więcej. Ale nie zauważył nikogo.

Zatrzymał się przy zwłokach. Skórzana kurtka rozdarła się o wystający kikut złamanej gałęzi. Z prawego boku klatki piersiowej oraz z lewej strony szyi sączyła się krew. Szeroko otwarte oczy jeszcze błyszczały. Zepchnął trupa na ziemię. Ciało upadło na gnijące liście, zmieszane z zeschniętym igliwem, wydając głuchy odgłos.

John zaczął przeszukiwać kieszenie zabitego. Podłej jakości nóż sprężynowy nie był mu potrzebny. Zapalniczka - zwolnił zawór i zakrzesał iskrę. Błysnął jasny płomyk. Nie miał zwyczaju korzystać z używanych rzeczy, ale dodatkowe źródło światła zawsze mogło się przydać. Schował ją do kieszeni. Papierosy - takich akurat nie palił. Pistolet ręczny typu Magnum 22 - obejrzał go dokładnie i stwierdził, że to małe cacko jest niezawodne. Plastikowe pudełko na pięć naboń - tylko cztery gniazda były zajęte.

Załadował pistolet, a puste pudełko włożył do kieszeni kurtki. Zluzował iglicę do połowy kurka i puścił bębenek w ruch obrotowy. Pociągnął za spust. Żaden z czterech naboń nie wypalił. Używał tych małych pistoletów niejednokrotnie; działały sprawnie, pomimo niewielkiego rozmiaru, ale nie miał jeszcze do czynienia z rewolwerem, w którym nabój umieszczano się pod iglicą. Wyciągnął amunicję z komory bębena i włożył ją luzem do kieszeni.

Portfel: prawo jazdy, pomięta fotografia obnażonej blondynki oraz dwudziestodolarowy banknot. Pieniądze były właściwie bezużyteczne, bardziej nadawały się do rozpalenia ognia niż jako środek

płatniczy. Trwała przecież Noc Wojny. Rourke zabrał je jednak. Na koniec zamknął denatowi oczy.

Rozglądając się wokół, przeszedł nad ciałem zabitego i podniósł z ziemi karabin, który wcześniej odrzucił. Opróżnił magazynek, rozmontował broń i bezużyteczną wyrzucił między drzewa. Pozostawienie sprawnego karabinu mogło go przecież drogo kosztować.

Zaczął pośpiesznie wycofywać się, gdyż spodziewał się lada moment nadejścia bandytów. Dziwił się nawet, że jeszcze nikogo nie ma.

Musiano przecież słyszeć strzelaninę. Kiedy doszedł do miejsca, w którym wyrąb leśny zmienił się w polanę, ujrzał swego Harleya.

- Mówię ci, Crip, to były strzały. Może Marty wpadł w jakieś tarapaty?

Ręce mu się trzęsły, gdy usiłował zapalić papierosa. Wyższy, szczuplejszy mężczyzna, który przykucnął obok niego, wyjął z kieszeni swoją zapalniczkę.

- Jeśli Marty ma kłopoty, to i my możemy je mieć. Pierwszy mężczyzna, imieniem Jed, sięgnął końcem papierosa płomienia zapalniczki i wciągnął dym pełnym haustem. Odprężył się i powiedział:

- Jeżeli Marty rzeczywiście wpadł na kogoś, to może być źle.

Obaj ukryci byli wśród drzew. Crip obserwował teren przez lornetkę.

- Popatrz Jed, nas jest tylu, a tych facetów z oddziału wojskowego tylko sześciu. Z wojskiem lepiej nie zaczynać. Gdyby, przypadkiem, pierwsi nas zaatakowali, to sobie poradzimy. Spójrz tam! Za tymi głazami i drzewami czają się chyba ze dwa tuziny naszych kumpli, uzbrojonych po zęby.

Crip oddał lornetkę koledze.

- Tak, ale każdy z tych sześciu żołnierzy posiada ze dwieście sztuk amunicji i sześć automatów M-16. W razie czego, my dwaj gównu moglibyśmy im zrobić.

- No, ale gdybyśmy mieli więcej amunicji i lepszą broń, to kto wie.

- Ale jaki sens miałoby zabijanie facetów z armii? Może oni polują na komunistów albo na kogoś takiego?

- A może na jakichś innych zasrańców? - zachichotał Crip. - Jeśli chcesz walczyć z komunistami, to idź i dołącz do nich. Ja pragnę żyć. Niech sobie sami walczą z pieprzonymi Rosjanami. Będę zadowolony, jeśli ich zarzną. Ci z armii myślą, że można jeszcze prowadzić uczciwą grę. Wkrótce będą chcieli i nas załatwić, ale my ich uziemy pierwsi.

Crip znowu spoglądał przez lornetkę. Jed niespokojnie wypuszczał dym z papierosa; drżenie rąk nie ustępowało.

Natalia Anastazja Tiemerowna zsiadła z motoru i idąc przez polanę odgarniała opadające jej na twarz mocno potargane, ciemne kosmyki włosów.

Uczesała je i spięła z tyłu głowy.

Nagle usłyszała jakiś szelest, jakby trzask łamanej gałązki. Utkwiła wzrok tam, gdzie przed chwilą coś się poruszyło. - „Czyżby to Paul? - pomyślała. Wiedziała, że Paul Rubenstein nie miał jeszcze doświadczenia w walce z bandytami, lecz nadrabiał braki wytrwałością i pomysłowością. To zjednało mu jej sympatię.

Wtem zobaczyła jakąś postać leżącą na ziemi tuż przy drzewie. Wsunęła szybko prawą rękę do futerału i wyciągnęła pistolet, kierując wylot lufy w to miejsce. Podchodziła, coraz bardziej wydłużając krok i mimo woli zerknęła na czubki swych dużych, czarnych butów wystających spod szerokich nogawek spodni.

Różnobarwne odcienie jesieni zawsze ją radowały. Kiedy mieszkała niedaleko Moskwy i była małą dziewczynką, często stąpała po liściach, idąc na lekcje baletu...

Zatrzymała się około pięciu metrów od miejsca, gdzie leżał człowiek. Rozejrzała się i podeszła bliżej wiedząc, że Paul przebywa ciągle w ukryciu i ubezpiecza ją na wypadek zasadzki.

Natalia podeszła blisko i kopnęła leżącego w klatkę piersiową, by się upewnić, czy rzeczywiście nie jest to jakaś pułapka. Odskokzyła, gdyż ciągle jeszcze nie wykluczała podstępny. W walce o życie nie można niczego lekceważyć. Dopiero teraz schowała pistolet i pochyliła się na trupem. Dotknęła jego ręki - była jeszcze ciepła. Powieki były tak zamknięte, jakby ktoś to zrobił niedawno. „Ktoś nie był nieczuły” - wydedukowała. Uważnie przyjrzała się ranom na szyi i piersi. „Musiał tego dokonać bardzo dobry strzelec”.

Wstała i poszła w kierunku miejsca, skąd mogły paść strzały. Po przejściu kilku kroków spostrzegła leżący na trawie lśniący odłamek mosiądzu. Wzięła go do ręki i obejrzała dokładnie. Widoczny był fabryczny odcisk ze znakiem firmowym - ACP nr 45. Taką amunicję miał Rourke.

Tuż obok, wśród zeschniętych liści, leżała łuska. Podnosząc ją zauważyła ślady opon. Czyżby był tu John? Przez ostatnich siedem dni ona i Paul Rubenstein poszukiwali go bezskutecznie. Miała dla niego pilną wiadomość.

Obawiano się, że Rourke mógł paść ofiarą czystki, jaka przeciągnęła ostatnio przez rejonową i centralną sekcję. Sama przecież znajdowała się w dwuznacznej sytuacji. Była Rosjanką, a pomagała Amerykanom. Stany Zjednoczone i Rosja były w stanie wojny. Sowieci okupowali ten kraj. Ona zaś była majorem KGB.

Później będzie czas o tym pomyśleć. Teraz ma co innego do roboty. Otrząsnęła się więc i poszła po śladach motocykla. Wtem spostrzegła, że ściółka się błyszczy. Przykucnęła i podniosła jeden większy liść. Pachniał ludzkim moczem. Zauważyła także inną mokrą plamę, tuż obok.

- Natalio!

Odwróciła się. Paul biegł ku niej z karabinem maszynowym przewieszonym przez prawe ramię. W dłoni trzymał jakiś przedmiot przypominający mały, ręczny karabin.

- Znalazłem to. Ktoś rozmyślnie go rozmontował. Natalia obejrzała karabin i powiedziała:

- Można nim strzelać, ale tylko pojedynczymi pociskami. Nie ma magazynka. Paul, chyba John tu był, i to bardzo niedawno.

- Ten głośny strzał mógł pochodzić z tego automatu.

- A to pozostało z dwóch innych strzałów. - Natalia pokazała Paulowi łuski od naboju.

Rubenstein wziął je do ręki, obejrzał dokładnie i powiedział:

- Naboje Johna mają taki znak firmowy.

- Ale to jest największa fabryka amunicji na świecie. Te łuski mogły należeć do tysięcy ludzi. A oprócz tego są inne znaki...

Natalia wskazała ręką na ślady opon motocykla oraz na mokre liście.

- Ciało zabitego jest jeszcze ciepłe. A tu John zatrzymał się, aby...

- Wysusiać się - dodał nieco speszony. Natalia zachichotała.

- Tak. I wtedy wszedł na niego ten człowiek. John zabił go i zdemontował strzelbę, aby nikt jej nie użył. No, a potem, jak go znam, dokończył siusianie, wsiadł na motor i odjechał.

- Tak, ale gdzie jeden zbój - tam zwykle jest ich cała zgraja.

- Nic jednak na to nie wskazuje, żeby tu byli. Czy zauważyłeś coś podejrzanego?

- Nie, nic.

Rubenstein potrząsnął głową, przytrzymał spadające z nosa okulary i nasunął je na czoło. Druciane oprawki dotykały kosmyków ciemnych, przerzedzonych włosów.

- Ciekawe, jakbym się teraz zachowała, gdybym była Johnem?

Rubenstein wybuchnął śmiechem.

- Ty? Gdybyś była Johnem? Może rzeczywiście tylko ty jesteś w stanie rozwikłać jego sposób myślenia. Czy zachowałabyś się tak jak on, to znaczy zabiłabyś jednego draba nie zważając na to, że może być ich więcej?

- Ale zmusiła go do tego sytuacja. Posłuchaj uważnie. Został zaskoczony najściem obcego człowieka, więc, nie mając chwili do zastanowienia, zaczął strzelać. Kiedy upewnił się, że tamten nie żyje, obszukał go i zabrał, co mu było przydatne. No i dokończył to, w czym przeszkodził mu nieznajomy.

- Niemalże wcieliłaś się w Johna - zażartował Paul.

- Nie widać nigdzie śladów opon drugiego motoru, więc ten facet mógł być pieszo; może to jakiś maruder?

Paul pokiwał głową i rzekł:

- Wydaje mi się, że chyba nie, Natalio.

- Masz rację. Facet ma na nogach buty do jazdy. Podeszwy są prawie czyste, nie mógł więc długo chodzić.

- John na pewno spodziewał się, że w okolicy czai się więcej rzezimieszków, którzy mogliby usłyszeć strzały. Wtedy nie pozostało mu nic innego, jak zmykać, i to szybko.

- Albo urządzić zasadzkę.

- Może masz rację. To całkiem prawdopodobne, że jest teraz na tropie pozostałych.

- Myślę, że jest parę kilometrów stąd.

- Może uda nam się odnaleźć go w lesie.

- To zacznijmy go szukać, Paul.

- Tak, może zdążymy, zanim wpadnie w łapy tych przeklętych drabów - dodał.

- Ruszajmy!

Natalia i Paul skierowali się do motocykli. Dziewczyna dotarła do swego Harleja Davidsona. Kiedyś Rourke przemierzał na nim całą pustynię w zachodnim Teksasie. Motocykl ten zdobył na bandytach, którzy napadli na ofiary katastrofy lotniczej. Dowiedziała się o tym od Paula; John był zbyt powściągliwy, aby się tym chwalić.

„Jak to było dawno” - westchnęła cicho, wspominając sytuacje, pełne niebezpieczeństw i grożące śmiercią. - Zawsze wychodzili z nich cało. Nawet wtedy, gdy wydawało się, że nikt i nic nie jest w stanie ich uratować.

Wsiadła na motocykl i zapięła kabury; czuwały w nich niezawodne rewolwery firmy Smith & Wesson. Teraz mogła już uruchomić silnik.

John Thomas Rourke pilnie obserwował teren. Skierował lornetkę na grupę sześciu osób, przedzierających się przez zarośniętą wysoką trawą pole na dnie doliny. Widział zmęczone twarze pod zmiętymi kapeluszami, przez ramiona przewieszane M-16. „Ani to marynarze, ani piechota, ale na pewno wojska Stanów Zjednoczonych” - pomyślał.

Ponownie sięgnął po lornetkę. Wzdłuż wąwozu skradała się grupa mężczyzn, być może były tam i kobiety. Naliczył co najmniej dwadzieścia pięć sylwetek w grupie i jeszcze dwie nieco wyżej, oddzielone od niej pasmem drzew.

Zastanawiał się, co robić dalej: „Banda działa w dużym rozproszeniu, większość zajęta jest akurat przyrządzaniem posiłku. Może zdecydować się na odwrót i spróbować połączyć się z Pauliem?”

Może zająć się odszukaniem żony, syna i córki...?”

W pobliżu przebywał sześćoosobowy oddział żołnierzy. Zachowywał się tak prowokacyjnie, jakby zapraszał do ataku. Fakt ten od samego początku go zaintrygował. Oprócz tej grupy, w najbliższej okolicy nie było wojska.

Rourke wysunął do przodu pistolet maszynowy CAR-15. Zacisnął dłoń na kolbie, przesunął rygiel zamka i założył pierwszy magazynek z nabojami.

Z bronią gotową do strzału rzucił się do ucieczki.

ROZDZIAŁ II

Korzystając z osłony drzew, Rourke przedzierał się chyłkiem wzdłuż wzniesienia. Dwaj bandyci, ukrywający się za rumowiskiem, znajdowali się zaledwie pięćdziesiąt metrów od niego. Istniały dwie możliwości: albo podejść do nich całkiem blisko i zlikwidować po cichu, albo otworzyć ogień. Pierwszą możliwość po chwili odrzucił, gdyż wychodząc z ukrycia na otwartą przestrzeń, mógł zostać zauważony i natychmiast zaatakowany. Druga pozwalała na stosunkowo łatwe pozbycie się dwóch drabów przez zaskoczenie.

Natychmiast podjął decyzję. Położył się twarzą do ziemi za skalnym występem (zasłonięty dodatkowo drzewami), aby uchronić się przed kulami przeciwnika. Nastawił teleskop CAR-15 na najbliższej stojącego mężczyznę. Na tarczy przyrządu optycznego ukazały się plecy przeciwnika. Pociągnął za spust i momentalnie skierował celownik nieco w lewo, gdzie za sporym głazem stał drugi zbir, który patrzył przez lornetkę.

- Do widzenia! - zawołał Rourke, pewien, że wszystko odbyło się bez pudła.

W odpowiedzi usłyszał wrzask spadających ze skał rzezimieszków. Obaj runęli głowami w dół.

Najgorsze jednak miało dopiero nadejść. Niemal w tej samej chwili nad Johnem przeszła kanonada ognia. Kule trzaskały o skały i wbijały się w pnie drzew, odłupując korę.

Zorientował się, że strzela także sześciu wojskowych znajdujących się na dnie doliny. Nie był jednak pewien, kto jest ich celem: on czy bandyci?

Korzystając z zamieszania, jakie powstało w grupie rozbójników, wziął na cel dwóch z nich. Posłał dwie serie z automatu. Chyba zabił kobietę...

Druga odpowiedź była jeszcze silniejsza. Z najbliższej sosny kule zsiekły gruby konar, a opadające z drzew igły przykryły Johna cienką warstwą. Należało opuścić to miejsce, zrobiło się zbyt niebezpiecznie.

Wspiął się na szczyt wzniesienia, a następnie uciekając na czworakach, dotarł do kępy drzew. Chowając się za nimi, zdjął z ramienia CAR-15 i załadował go powtórnie.

Z dołu zbliżał się do wzgórza bandyta trzymający w ręku coś, co wyglądało na M-16. Rourke strzelił. Ciało bandyty zachwiało się, zgięło w pół jak zamykający się scyzoryk i obsunęło w dół.

Teraz musiał uciekać dalej, gdyż wzmógł się ogień z ciężkiej automatycznej broni i mógł łatwo go dosięgnąć. Dał nura w głąb luźno sterczących skałek. Doganiało go już trzech drabów. John strzelił do pierwszego z nich, ale chybił. Posłał kolejną serię, tym razem celnie. Zagrożenie było chwilowo oddalone.

Spojrzał w dolinę. Ciągle rozlegały się stamtąd strzały oddziału wojskowego, lecz odnosiły one mierny efekt.

Przedzierał się dalej. Kluczając wśród drzew, usiłował wydostać się z pola rażenia. Jeden z bandytów, przyczajony za drzewem, strzelał tak zawzięcie, że aż zatrzęsło niewysoką sosną, przy której stał John.

Rourke wyciągnął trzynastonabojowy magazynek.

Tymczasem bandyta, wykorzystując przerwę w wymianie ognia, podszedł bardzo blisko. John zdążył jednak załadować broń i wypalić prosto w jego serce.

Nie czekając ani chwili, rzucił się do ucieczki, gdyż tylko w niej upatrywał szansę na przeżycie. Przewaga bandytów była ciągle zbyt duża.

ROZDZIAŁ III

Paul Rubenstein zatrzymał motocykl, a obok przystanąła Natalia.

- To musi być John - powiedział półgłosem, przygotowując do akcji swego Schmeissera, pistolet maszynowy dużej mocy i wysokiej klasy.

Natalia milczała. Paul widział, jak przekładała pas swojej M-16 w ten sposób, że przechodził od lewego barku pod prawe ramię. Tak samo zwykł to czynić Rourke.

- Jedźmy, Natalio.

- Rozdzielimy się, gdy dotrzemy do miejsca walki; ty zajmiesz się prawą stroną, a ja lewą - powiedziała.

- Dobrze.

Rubenstein włączył silnik i rozpedził maszynę. Przejeżdżając po wystających z ziemi pniakach, mocno trzymał kierownicę, gdyż motocykl trzął się cały jak na torze przeszkód. Kiedy dotarł do skraju wąwozu i zmniejszył szybkość, otoczyła go chmura kurzu.

Tu wyraźnie słychać było odgłosy strzelaniny. Wyłowił z nich charakterystyczny terkot ciężkiej, automatycznej broni maszynowej. Pamiętał go dobrze: to była broń Johna Rourke'a.

Nawierzchnia wyrównywała się nieco, ale pomimo to Paul cały czas zmagał się z maszyną. W pewnym momencie motocykl stanął dęba i aby utrzymać równowagę, musiał użyć wszystkich sił. Jechał teraz bardzo uważnie i powoli, bo ścieżka prowadziła wzdłuż granic wzniesienia. Sto metrów dalej zaczynał się teren całkowicie zalesiony i stamtąd właśnie dochodziły odgłosy ciągłych salw.

- Wjadę w las, a ty jedź skrajem! - krzyknął Paul do nadjeżdżającej Natalii.

- W porządku, Paul - usłyszał.

Przez chwilę zamyślił się: major KGB, znawca wojskowego rzemiosła. Twarda sztuka! Kobięce odbicie Johna - prawie we wszystkim.

Paul uśmiechnął się do siebie, jak gdyby dziwiąc się swoim rozmyśleniom o Natalii. Martwił się o Johna - tak bardzo chciał mu pomóc w zmaganiach z bandytami.

Nagły podskok motoru przerwał mu te myśli. Przednie koło motocykla ugrzęzło w hałdzie żwiru. Maszyna przechyliła się gwałtownie w prawo, ale Paul zdążył oprzeć nogę na pniu. Od tego miejsca zaczynała się ścieżka, gdzie kiedyś razem z Johnem natknęli się na płową zwierzynę. To, że Rourke znał ten teren, mogło być jego wielką szansą.

Rubenstein prowadził bardzo powoli, gdyż ścieżka wiodła teraz przez gęsty zagajnik. Gałęzie drzewek uderzały w maszynę, trącały Paula w twarz i kaleczyły ręce. Ostre sosnowe igły ocierały się o jego jasnobrązową polową kurtkę.

Nagle, w dość dalekiej odległości zauważył biegnącą wśród drzew sylwetkę. Czyżby Natalia już

tam dotarła? Zatrzymał motocykl i uważnie obserwował teren. Nie, to nie była ona, lecz mężczyzna, cały czas strzelający do kogoś.

Rubenstein czekał ze swym Schmeisserem gotowym do strzału. Sylwetka uciekającego mężczyzny stawała się coraz wyraźniejsza, aż w końcu Paul rozpoznał, że jest to Rourke. Z radości wykrzyknął imię przyjaciela i wyskoczył z ukrycia.

ROZDZIAŁ IV

Ten usłyszawszy znajomy głos, nie mógł się opanować, ale zamiast wrzasnąć: „Paul, stary kumplu, jak się masz!”, ryknął:

- Paul, kryj się!

Sam zaś, pochylając się jak najniżej, kluczył wśród drzew. Strzelanina rozlegała się dookoła, kule ślizgały się po pniach. Teraz jednak Rourke czuł się pewniejszy, miał przy sobie Paula.

Kiedy kanonada nieco ucichła, spostrzegł w dole migotliwe błyski. To była kobieta na motocyklu, wiatr rozwiewał jej ciemne włosy.

- Natalia! - krzyknął tak głośno, że aż sam się zdziwił. Snop światła rzucony przez reflektory motocykla zwabił bandytów. A może o to właśnie chodziło? Może miał to być taki szczególny rodzaj upominku dla niego? Natalia mknęła na swym Harleyu w kierunku wzgórza. Kiedy wspinała się po ścieżce prowadzącej wzdłuż wzniesienia, w pewnym momencie została prawie wyrwana z siedzenia i o mały włos nie spadła z motoru. Raptem motocykl zniknął za skałami, a po chwili było wiadomo, że włączyła się do akcji. Słysząc było miarowy terkot jej M-16.

John uśmiechnął się w zamyśleniu - rosyjski major walczył w obronie amerykańskiego oddziału wojskowego! W chwilę potem krzyknął:

- Paul, schodzimy w dół!

- W porządku, John!

Rourke spojrzał, jak stojący nieco wyżej Paul ładuje trzydziestonabojowy magazynek.

- Paul, wykończmy ich wreszcie!

- Teraz na pewno ich załatwimy, jest nas troje. Wszystko wskazuje na to, że i wojsko jest po naszej stronie.

Zaczęli zbiegać szybciej; czuli, iż są teraz silniejsi.

Bandyci zmienili swe pozycje i rozpięchli się po wzgórzu. Znaleźli się teraz w pułapce: Rourke wysunął się na czoło, Rubenstein zabezpieczał lewą stronę, Natalia prawą, a na tyłach było sześciu żołnierzy. Zapora trudna do sforsowania.

Rourke pierwszy otworzył ogień, a już po chwili usłyszał łoskot półautomatu Paula i M-16 Natalii. Do akcji włączył się także sześciuosobowy oddział; ich broń zagrała pełnym ogniem. Najbliższy z bandytów znajdował się w odległości około trzydziestu metrów, gdy Rourke skierował na nich ogień. Oddział wojskowy zbliżał się także. Nieliczni, pozostali jeszcze przy życiu bandyci stali się jeszcze bardziej niebezpieczni z powodu swej determinacji. Z furią ruszyli na niego: jeden wyposażony w M-16, drugi ładujący w pośpiechu rewolwer. Rourke strzelił w górę, w kierunku jednego z nich. Ciało trafione gradem kul osunęło się na ziemię, pod same stopy Johna. Stracił przez

to równowagę, upadł i zsunął się w dół, wypuszczając z rąk pistolet.

„Ten drugi niechybnie mnie dostanie” - pomyślał. Za moment ujrzał jego spadające ciało. Spojrzał w prawo, skąd padły strzały. Był tam Paul Rubenstein.

- Paul, dzięki ci!

Ale i tak go nie usłyszał, sytuacja wymagała bowiem pełnej koncentracji.

Rourke, znajdując się obecnie znacznie niżej od Rubensteina, nie był narażony na ataki napastników. Dopadł więc do zabitego i wziął jego M-16.

Bandytów nie zostało już wielu. Nastawił przyrząd celowniczy i wymierzył w stronę pojawiających się postaci. Wystrzelił krótkimi, trzynabojowymi seriami. Kilku napastników padło, ale pozostali przy życiu nacierali z coraz większą furją

Kiedy w M-16 pozostały tylko dwa naboje, wyrzucił magazynek i wsadził następną dwudziestkę. Pociągnął miarowo za spust, przesuwając wylot lufy wzdłuż nadciągających zbirów. Krótkie, dwu lub trzynabojowe serie dosięgły celu.

Do ostatecznej rozprawy włączyła się Natalia i Paul. Przestali strzelać dopiero wtedy, gdy ostatni z bandziorów padł martwy. Popatrzyli na siebie w milczeniu, jakby nie dowierzając, że wszyscy troje żyją.

Rourke odłożył pistolet, sięgnął do kieszeni i wyciągnął cygaro i zapalniczkę; błysnął niebieskawo-żółty płomyk. Przypalił cygaro i jeszcze raz zerknął na wygrawerowane inicjały: J.T.R. Naraz przyszła mu do głowy absurdalna myśl: co by było, gdyby był kim innym? Uśmiechnął się, zaciągając się dymem. Może byłby wtedy człowiekiem nie zaprawionym w walce i zginąłby na samym początku Nocy Wojny?.

ROZDZIAŁ V

- A więc, doktorze Rourke, szukaliśmy pana i dlatego właśnie tu jesteśmy. Prezydent Chambers i pułkownik Reed...

Rourke przerwał ładowanie sześciopojowego magazynka Detonics'a i zapytał zdziwiony:

- Pułkownik Reed?

- Prezydent Chambers osobiście wyznaczył go do nadzorowania misji.

- A pan jest zapewne kapitan Cole?

- Tak, proszę pana. Jestem Regis Cole; niedawno dostałem awans - odpowiedział młody, zielonooki mężczyzna.

Rourke oszacował wiek kapitana na jakieś dwadzieścia pięć lat, a pięciu towarzyszących mu młodzieńców na jeszcze mniej. Nie przestał jednak manipulować przy spluwie. Umieścił magazynek w pistolecie i uruchomił guzik asekuracyjny znajdujący się na kolbie. Potem przesunął suwak prowadzący do przodu i uwolnił jeden z naboju. Następnie zredukował iglicę.

- Ja zawsze noszę swoją „czterdziestkę piątkę” z pełnym magazynkiem i z nabojem umieszczonym już w komorze - wtrącił Cole.

- Wielu tak robi - odpowiedział prawie szeptem, zaciągając się cygarem, sterczącym z lewego kącika ust. - Ale większość zawodowych strzelców nie zaleca umieszczania naboju bezpośrednio w komorze, gdy nie korzysta się z broni.

- Aby zmniejszyć naprężenie sprężyny?

- To też, ale główny powód jest inny. - Rourke wyciągnął magazynek i wskazał na nabój górny. - Niech pan zwróci uwagę, że gdy nabój wślizguje się bezpośrednio do komory, tuż przed oddaniem strzału, uruchamia jednocześnie sworzeń iglicy, przez co działanie pistoletu staje się bardziej niezawodne. W każdym razie, ja tak uważam. Zamontował magazynek z powrotem. W chwilę później pistolet spoczywał już w kaburze pod lewą pachą.

- Kapitanie Cole, niech mi pan wreszcie powie, w jakim celu mnie szukaliście? Co ten pułkownik Reed chce ode mnie?

Cole przykucnął na ziemi obok Rourke'a, rozglądając się przy tym dookoła, jakby chciał upewnić się, czy przypadkiem ktoś nie podsłuchuje. W pobliżu rozmawiali ze sobą Paul i Natalia.

- Chciałbym z panem porozmawiać raczej bez świadków, w cztery oczy.

- Nie mam nic do ukrycia przed moimi przyjaciółmi. Darzę ich pełnym zaufaniem.

- Ale ona jest przecież Rosjanką, doktorze!

- Tym lepiej - odpowiedział z uśmiechem John.

- Nalegam jednak, aby rozmowa odbyła się bez świadków.

Rourke zmarszczył brwi i krzyknął:

- Natalia! Paul! Kapitan ma zamiar powiedzieć mi coś na osobności. Opowiem wam wszystko, jak tylko sobie pójdzie. Jest pan zadowolony? - Zwrócił się do kapitana.

Zielone oczy kapitana spojrzały lodowato.

- Chciałbym uprzedzić, że to, co za chwilę przekażę, jest rozkazem.

- Chce mnie pan zaciągnąć do wojska? - Rourke wybuchnął śmiechem.

Poderwał swego CAR-15, załadowanego amunicją zwędzoną bandytom, i wrzasnął:

- Nie zwerbujecie mnie! - Machnął trzymanym w rękę pistoletem. - Oświadczam panu, że uchylam się od służby w wojsku ze względów religijnych.

Zirytowany Rourke odszedł w kierunku stojącej w oddali Natalii, zostawiając Cole'a samego. Natalia sprawdzała, czy wszyscy bandyci są ranni, czy któryś mógłby im jeszcze zaszkodzić. Podeszedł do niej. Sprawdzili leżących, ale żaden nie dawał znaku życia.

Weszli razem w cień lasu, nie odzywając się do siebie. Natalia wyczuła, że Rourke jest bardzo wzburzony. Gdy zobaczyła, że jego twarz rozpogodziła się, powiedziała:

- Nic się nie zmieniło, John. Nadal nie mogę bez ciebie żyć.

Rourke dotknął jej twarzy, czując przyjemne ciepło zarumienionych policzków. Oczy kobiety wyrażały łagodne oddanie.

- Kiedy nocą patrzę na niebo, odnajduję swoją gwiazdę i proszę, by przekazała wszystkie moje myśli twojej gwiazdzie. Skoro my nie możemy się spotkać, niech one się spotkają.

Wypowiedziała te słowa cichutko, spuściła oczy, tuląc swą twarz do rąk Johna.

Pogładził ją po długich, rozwianych włosach i powiedział:

- Natalio, nie wiem doprawdy, co począć. Im więcej rozmawiamy o sobie, tym bardziej nie wiem.

Potem wziął ją w objęcia i pomyślał, że widzi ich Paul Rubenstein.

- Mój wuj - wyszeptala po chwili Natalia, opierając głowę na jego piersi - za moim pośrednictwem przesyła ci wiadomości. Są bardzo pilne. Sugeruje mi również, abym nie wracała do KGB. Nie wiem, co o tym sądzić. Wiem tylko tyle, że cię kocham, a ty jesteś żonaty, i że pragnę naszej miłości, ale bardziej tego, abyś odnalazł Sarę i dzieci.

Niczego więcej nie była w stanie powiedzieć. Nie patrząc na niego, szepnęła:

- Jaka ja jestem głupia.

Odwróciła się, spojrzała jeszcze raz na Johna i uśmiechnęła się smutno, z jej oczu popłynęły łzy. Odeszła.

Rourke nie zdążył nawet pomyśleć o tym, co powiedziała, kiedy stał już przy nim kapitan Cole. Człowiek ten od samego początku nie wzbudzał zaufania. Nawet rozmowa z nim nie rozwiała podejrzeń. Gdy spacerowali teraz między drzewami na wzgórzu, Rourke starał się analizować słowa wypowiedziane przez Cole'a: - „...nikt inny nie może wykonać tego zadania. Jest pan potrzebny.”

Rourke zatrzymał się.

- Co to za zadanie, którego nikt poza mną nie może wykonać?

- Wspomniał pan pułkownikowi Reedowi, że znał pan pułkownika Armanda Teala jeszcze przed wojną.

- Mieszkaliśmy razem w igloo przez trzy noce, na ćwiczeniach z przetrwania. Stąd go znam.

- On jest oficerem dowodzącym Bazą Wojsk Lotniczych w Filmore, w Północnej Kalifornii.

- Mam nadzieję, że potrafi pływać - powiedział całkiem poważnie.

- Filmore prawdopodobnie ocalało. Prawdopodobnie łańcuch górski powstrzymał falę uderzeniową. Na pewno są tam jakieś zniszczenia po wybuchu, ale musimy się jeszcze upewnić. Wydaje się nawet, że podjęli działalność i powiewa tam amerykańska flaga.

- A może to Rosjanie? - zapytał Rourke.

- Niewykluczone. Próbowaliśmy skontaktować się z bazą, ale zakłócenia w atmosferze uniemożliwiają to. W czasie lotów rozpoznawczych nie zdołaliśmy połączyć się z bazą drogą radiową. Jeśli przebywaliby tam komuniści, to z pewnością odezwaliby się.

- Więc dlatego aż tak ważna jest ta baza w Filmore i Armand Teal, że chcecie, abym wam o tym opowiedział?

- Chcemy, aby pan z nim porozmawiał.

- Mam pojechać do Kalifornii? Nigdy!

Odwrócił się i zaczął schodzić w dół. Do jego uszu dobiegły charakterystyczne dźwięki. Domyślał się, że Natalia i Paul dobyli swych pistoletów, by w razie potrzeby przyjść mu z pomocą. Przyjaciele przeczuwali, że jest zagrożony. Rourke sięgnął po swe pistolety i raptownie odwrócił się. Tuż za nim stał Cole, który akurat szykował się do wyciągnięcia broni.

- Odłóż broń, bo cię zabiję! - zasyczał.

- Pozwól mi przynajmniej wyjaśnić - odpowiedział Cole.

- Chcesz wyjaśnić, to proszę bardzo, ale tam na dole, gdzie będę razem z przyjaciółmi. Wytłumaczysz się tam. I powiedz swoim ludziom, aby odłożyli karabiny - bo możesz tu zginąć pierwszy.

Cole stał jak zamurowany. Schował broń do kabury i krzyknął do żołnierzy:

- Zróbcie to samo!

Rourke odłożył swe pistolety.

- Każdy człowiek ma prawo do posiadania broni, dla obrony własnej i osób, które kocha; bez względu na nierealne i niemoralne prawa, jakie jeszcze panują, nie bacząc na pseudo dobroczyńców, dzięki którym Ameryka może stać się bezbronna, a Amerykanie - bezradni. Lecz nikt nie ma prawa narzucać swej woli innemu człowiekowi - siłą!

Chciał dać Cole'owi do zrozumienia, że nie zmusi go do wyjazdu do Kalifornii.

Powiedziawszy to zaczął schodzić ze wzgórza. Miał nadzieję, że Cole go zrozumiał i usłucha. Ale przeczuwał, że sprawa się jeszcze nie zakończyła.

ROZDZIAŁ VI

- John!

Krzyk Paula. Rourke zerwał swój CAR-15 ze stojaka zrobionego z gałęzi i zaczął biec, pozostawiając swój motocykl ukryty między drzewami. Zatrzymał się na szczycie wzniesienia, gdzie stali naprzeciwko siebie Natalia i Cole. Wtem Cole zamierzył się, chcąc uderzyć ją w twarz. Wyprzedziła ruch, chwytając jego rękę, następnie, błyskawicznym ruchem ciała przerzuciła go przez bark. Mężczyzna upadając pociągnął kobietę za sobą. Chcąc utrzymać równowagę, musiał puścić jej rękę i wtedy sięgnęła po pistolety. Nie zdążyła. Żołnierz z obstawy Cole'a oddał do niej serię z M-16.

Świat zawirował jej przed oczami. Chwyciła się za brzuch i upadła na ziemię ze szlochem:

- John...

- Natalia!

John bał się już wiele razy, ale nigdy nie był to strach tego rodzaju: strach o życie innej osoby. Jakże bliska mu była Natalia, skoro własne życie wydało mu się mniej ważne.

Biegł jej z pomocą.

Tymczasem Cole podniósł się z ziemi, ale Rubenstein zdążył już podbiec i zagrozić mu drogę. Trzymając oburącz, na wysokości barków, swój karabin maszynowy, nie pozwalał mu przedostać się do przodu. Cole, rozwścieczony jak byk na corridzie, uczeplił się karabinu, usiłując wyrwać go Paulowi.

Napierali na siebie, wreszcie ręce Cole'a ugięły się w łokciach i wtedy Rubenstein docisnął karabin, opierając go na jego gardle.

- Natalia! - Rourke krzyknął głosem pełnym rozpacz. Znajdował się dość blisko, ale wokół niej stali czterej żołnierze z bronią wymierzoną w niego.

- Chcę go mieć żywego! - krzyknął Cole do żołnierzy, kiedy Paul na chwilę zwolnił ucisk.

Rourke zatrzymał się przed żołnierzami i wrzasnął rozwścieczony:

- Muszę iść do tej kobiety! Nie starajcie się mnie zatrzymać, bo zabiję was!

Wpadł na nich, rozpychając lufy karabinów. Było mu wszystko jedno, co zrobią. Być może usłyszy ostatni w życiu strzał. Biegł dalej. Tuż przy leżącej na ziemi Natalii stał żołnierz, który do niej strzelał. Teraz kopnął ją, chcąc się przekonać, czy jeszcze żyje. Jednym skokiem dopadł żołnierza i wyrzucił go w twarz kolbą karabinu. Z ust chlusnęła mu krew. Nie miał jednak litości i kopnął go w pachwinę, poprawił jeszcze raz, aż ten osunął się na ziemię.

Padł na kolana przy niej.

- Natalia - szepnął.

Jej splecione dłonie obejmowały brzuch. Spod palców sączyła się krew. Drgnęły powieki. Rourke był lekarzem i oglądał wiele ran postrzałowych, ale ta była wyjątkowo paskudna. W oczach Natalii widział śmierć. Ratunkiem mogła być tylko szybka pomoc medyczna, każda stracona chwila przybliżała finał. O tym samym wiedział także Cole i wykorzystał to.

- Będziesz musiał udać się ze mną, jeśli chcesz, aby wyjęto jej te pociski. Chociaż byłoby lepiej, gdyby ta kobieta zmarła.

Spojrzał na Cole'a i zapytał:

- Gdzie znajduje się wasza kwatera główna?

Delikatnie rozsunął splecione palce Natalii, jednak złożył je z powrotem, bo krew broczyła zbyt mocno. Instynktownie chciała ratować swe życie. Zaciśnięte na brzuchu dłonie dość skutecznie wstrzymywały upływ krwi. Cole odezwał się wreszcie:

- Naszą bazą wojskową jest atomowy okręt podwodny, oddalony stąd o jakieś trzy godziny drogi. Jest to ostatni okręt z kompletną załogą i pełnym personelem lekarskim, z którym mamy łączność.

Rourke zastanowił się. Jeśli nawet mógłby dowieźć Natalię na okręt motocyklem, to prawdopodobnie wykrwawi się podczas przejazdu. Zachodzi też obawa, że spotka bandytów albo sowieckich żołnierzy. Jeśli nie zostanie poddana operacji i transfuzji krwi, to nie przeżyje. Wstrząsnął nim dreszcz. „Nie, ona musi żyć” - powiedział do siebie.

Cole zauważył, że bardzo zależy Johnowi na życiu tej kobiety, rzekł więc:

- Zorganizuję sprawną przeprawę i twoja przyjaciółka otrzyma fachową pomoc lekarską, ale ty pojedziesz do Filmore.

- Nie powiedziałem jeszcze ostatniego słowa. Wam też zależy na szybkim dotarciu do bazy wojskowej. Jeden z twoich żołnierzy ma kulę w ramieniu. Jemu także potrzebna jest szybka pomoc. Nie targujmy się więc o to, czy mam pojechać do Filmore, czy nie, ale ratujmy naszych ludzi.

Był lekarzem i wiedział, jak groźne dla człowieka są tkwiące w ciele odłamki pocisków, szczególnie, gdy znajdują się w jamie brzusznej. Aby zatamować krwotok, wyjął z plecaka elastyczny bandaż i owinał nim brzuch Natalii. Kiedy rozgiął palce jej dłoni i delikatnie ułożył ręce na bokach, w głębi rany zauważył jelita. Zaciskając bandaż modlił się, aby przeżyła. Miał świadomość, że nie jest już w stanie nic dla niej zrobić. Teraz jej organizm zdecyduje o wszystkim. Jemu pozostało tylko przekonać Cole'a o potrzebie szybkiego dotarcia do kwatery głównej. Dla Natalii gotów był użyć podstęp i siły.

ROZDZIAŁ VII

Michael i Annie bawili się z Millie, córką tragicznie zmarłych Jenkinsów. Dzieci bawiły się z psem, śmiały się i biegały.

Ścisnęła uda, czując nagle zażenowanie swą nieskrępowaną pozycją na schodach werandy. Wygładziła fałdy na niebieskiej spódnicy i podciągnęła kolana tak wysoko, że dotknęły prawie podbródka. Popatrzyła na swoje ręce; paznokcie były krótkie, krótsze niż kiedykolwiek przedtem. Zawsze lubiła długie, ale teraz łamały się podczas jazdy motocyklem i po powrocie do domu musiała je skracać.

Zaczęła nucić melodię pewnej piosenki. Dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że to melodia, przy której tańczyli kiedyś z Johnem.

Fotografia była pożółkła i pocięta, prawie nikogo nie można było na niej rozpoznać, ale wygładziła się nieco po tym, jak Mary Mulliner włożyła ją pomiędzy stronicę Biblii. Sara otwierała ją dość często, ale nie po to, aby utrwalić w pamięci cytaty, które tak podobały się Mary Mulliner, lecz aby popatrzeć na tę fotografię. John w eleganckim smokingu, a ona w długiej, ślubnej sukni. Uśmiechnęła się i zastanowiła, ile to metrów materiału poszło na tę kreację.

Odłożyła Biblię. Był wczesny ranek. Może syn Mary wróci zaraz z dobrymi wieściami o sytuacji na froncie i może wreszcie dowie się czegoś o swoim mężu. Od wielu dni czeka na tę wiadomość.

ROZDZIAŁ VIII

Warakow stał pod zniszczoną kopułą muzeum astronomii. Jezioro Michigan znajdowało się tuż za wysoką ścianą skał. Wiał ciepły wiatr.

- Towarzyszu generale!

Ismael Warakow rozpoznał ciepły, lekko wibrujący głos. Tak mówił tylko pułkownik Nehemiasz Roźdiestwieński.

- Słucham, pułkowniku - odpowiedział, nie odwracając się.

- Czy doszły do pana jakieś tajne wiadomości od pańskiej siostrzenicy?

- Nie, ona prowadzi działalność, że tak powiem delikatnej natury.

- Projekt „Eden”, towarzyszu generale? Nadeszły wytyczne, z których jasno wynika, że agent KGB, zaangażowany w rozpracowanie tego planu, podlega bezpośrednio mojej kontroli, a nie sztabowi wojskowemu.

- To z mojego rozkazu realizuje ona ten plan, a więc podlega wyłącznie mnie. Misję swą musi wykonać precyzyjnie.

- Przedostając się w szeregi amerykańskiego Ruchu Oporu?

- Pułkowniku, mogę przekazać panu jeszcze wiele szczegółów związanych z tą sprawą, ale najważniejszych informacji i tak panu nie ujawnię. Niech zadowoli pana to, że jej misja ma przede wszystkim na względzie dobro działań wojennych.

- Towarzyszu generale, jest mi niezmiernie przykro, to muszę panu zakomunikować, że jeśli nie otrzymam w najbliższym czasie konkretnych informacji o działalności majora, będę zmuszony powiadomić o tym Moskwę.

- Jestem pewien, że już się pan kontaktował z Moskwą. Kiedy Moskwa wystarczająco się zdenerwuje, sam zreferuję sprawę.

- Czyżby, towarzyszu generale?

- Przyszedłem tutaj, aby spędzić kilka chwil w samotności, pułkowniku.

Warakow zaczął przechadzać się tam i z powrotem. Usłyszał trzask butów odmeldowującego się pułkownika. Powtórzył słowa, których użył do opisanja misji swej siostrzenicy:

- Uwikłana w działalność delikatnej natury. Uśmiechnął się, przeszedł kilka kroków, wreszcie usiadł wygodnie w fotelu.

Istotnie, misja Natalii była nadzwyczaj delikatna.

ROZDZIAŁ IX

Rourke współpracował z lekarzem okrętowym. Zajął się przygotowaniem rannego żołnierza do transfuzji. Chłopak, podobnie jak Natalia, utracił sporo krwi. W pobliżu krzątał się sanitariusz. Spojrzał na identyfikator pielęgniarki.

- Kelly, podaj mi ciśnieniomierz.

Na stole operacyjnym leżał szeregowiec Henderson. Rourke odezwał się do niego żartobliwie:

- Henderson, jeśli mnie słyszysz, skurczybyku, to informuję, że ratujemy ci życie.

Przymocował zakończenie gumowego wężyka do ciśnieniomierza i zaczął pompować powietrze.

- Jesteś gotów, Kelly?

- Tak, doktorze, choć nigdy dotąd nie wykonywałem bezpośredniej transfuzji krwi.

- Poradzisz sobie. Podłącz rurki i zabezpiecz ich złączenia plastrem.

Był przekonany, że sanitariusz zrobi to dobrze. Spojrzał na dawcę.

- Panie White, ta porcja krwi, którą pan odda, nie osłabi pana, ale może pan odczuwać różnego rodzaju sensacje, na przykład odrętwienie, które wkrótce miną. Pobierzemy od pana około pół litra krwi. Proszę się więc położyć, a jak będzie już po wszystkim, wypije pan szklaneczkę soku pomarańczowego. Dziękuję za zgłoszenie się.

Aby uzyskać jak najlepszy przepływ krwi, opuścił niżej blat stołu, na którym leżał Henderson. Nakłuł żyłę na przedramieniu rannego, bowiem menzura z krwią White'a była już prawie pełna. Przymocował gumowy wężyk do igły i rozpoczął pompowanie powietrza tłoczącego krew.

- Spadło ciśnienie w przyrządzie White'a - oznajmił Kelly.

- Panie Kelly, proszę zawołać następnego dawcę. Rourke usłyszał skrzypnięcie drzwi. Wszedł lekarz okrętowy, Milton.

- Doktorze Rourke, oznaczyliśmy grupę krwi kobiety: „O” z odczynnikiem RH plus. Całe szczęście, że nie ma odczynnika ujemnego. Sam oddam pięćset mililitrów.

- Czy są filtry do usuwania skrzepów? - zapytał automatycznie Rourke.

- Tak, aparatura do przetaczania krwi jest przygotowana.

- Doktorze Rourke, krew spływa z prędkością dwudziestu kropli na minutę - poinformował Kelly.

- Utrzymaj takie tempo transfuzji przez dziesięć minut.

- Doktorze Milton - krzyknął - czy ona już jest gotowa?

Drzwi prowadzące do dwóch małych pokoi operacyjnych otworzyły się i Rourke usłyszał to jedno słowo, na które tak długo czekał:

- Tak.

Po chwili doktor Milton zapytał:

- Dlaczego nie kończy pan tego zabiegu? Kelly już posłał po następnego dawcę.

Rourke zdawał się nie słyszeć pytania. Z chwilą, gdy dowiedział się, że Natalia jest gotowa do operacji, nie był w stanie niczego robić. Przez uchylone drzwi dojrzał, że leży na stole operacyjnym.

Milton widząc, co się dzieje z Rourke'em, powiedział do niego:

- Idź tam, a ja zszyję Hendersenowi rozcięte wargi. Za chwilę dołączę do ciebie.

Wszedł do sali operacyjnej. Stół obsługiwali dwaj młodzi mężczyźni, jednak żaden z nich nie miał doświadczenia w zakresie chirurgii.

- Dajcie natychmiast tego sanitariusza Kelly'ego. Nie będę pracować z nowicjuszami! - krzychał Rourke.

Nie widział dookoła nikogo i niczego. Patrzył jedynie na Natalię. Zdawał sobie sprawę, jak ważne są przygotowania anestezyjologiczne, od ich prawidłowości zależy często życie pacjenta. Brak zawodowego sanitariusza wzmógł jego zdenerwowanie. Ale Kelly właśnie nadszedł.

- Zaraz zjawi się doktor Milton i będziemy mogli podłączyć go do aparatury transfuzyjnej. Będzie on najlepszym dawcą dla tej kobiety - powiedział Kelly.

Rourke zerknął jeszcze w kartę zdrowia Milтона, jakby nie dowierzając, że lekarz może być dawcą krwi.

ROZDZIAŁ X

- Jak nazywa się łódź?

- No tak, panie Rubenstein, użył pan prawdziwej terminologii. My nie używamy tej nazwy od dawna.

- Skąd pan zna moje nazwisko? - zapytał Rubenstein człowieka siedzącego naprzeciwko niego w oficerskiej mesie.

- Moim obowiązkiem jest wiedzieć wszystko o tych, którzy chodzą po pokładzie tego okrętu.

Uśmiechnął się i wyciągnął rękę do Paula.

- Jestem Bob Gundersen. Komandor Gundersen. To mój służbowy tytuł. Przeważnie zwracają się do mnie: kapitanie.

Rubenstein przywitał się z komandorem i rzekł:

- Moi przyjaciele nazywają mnie Paul, komandorze. A jeśli pan wie o wszystkim, co dzieje się na okręcie, to niech pan powie, jaki jest stan zdrowia Natalii?

- Major Tiemerownej?

Gundersen spojrział na zegarek i Paul zauważył, że jest to Rolex, taki sam jaki nosił John.

- Doktor Rourke rozpoczął transfuzję krwi jakieś dziesięć minut temu. Być może teraz już przystąpił do operacji.

Myślę, że John nie powinien tego robić.

- Doktor Rourke?

- Tak sądzę, że nie powinien. Czytałem kiedyś, że lekarze nie powinni dokonywać operacji na członkach rodziny oraz osobach najbliższych, ponieważ jest to zbyt stresujące.

- Mówiłem o tym doktorowi Milionowi, ale odpowiedział mi, że już wszystko uzgodnił z doktorem Rourke. Twierdził, że on ma właśnie doświadczenie z ranami postrzałowymi. Wie pan, od chwili, gdy zaczęła się Noc Wojny, w marynarce niewiele było ran postrzałowych. Doktor Milton ukończył studia medyczne dopiero dwa lata temu. Prawdę mówiąc, obecnie w ogóle nie posiadamy marynarki. Wszystkie okręty nawodne zostały zniszczone. Tylko niewielu zostało na tak zwanych świńskich łodziach.

- Świńskie łodzie? Cóż to takiego?

- Stary, podwodniacki termin, bardzo stary. A ja przecież jestem starym podwodniakiem - zażartował Gundersen.

- O wiele bardziej martwi mnie jednak to, czy nasi lekarze poradzą sobie z tak skomplikowaną raną, jaką odniosła major Tiemerowna.. W każdym razie i tak nie było wyboru. Albo doktor Rourke, albo Harvey.

- Harvey? Kto to?

- To imię doktora Miliona. - Aha.

- Przyniosę coś, co trochę pana rozweseli. Czasami czekanie na wiadomość jest bardzo wyczerpujące.

Gundersen sięgnął po stojącą na półce małą butelkę. Podał ją Paulowi i rzekł:

- Proszę sobie nalać, to likier mający właściwości lecznicze.

Rubenstein dopił swoją kawę, a potem nalał do filiżanki trochę likieru i oddał butelkę kapitanowi. Ten powiedział:

- Nigdy nie piję alkoholu, gdy znajdujemy się pod wodą.

- Co to znaczy?

- Okręt znajduje się właśnie pod powierzchnią wody i płyniemy na północ - powiedział Gundersen spoglądając na zegarek. - Dokładnie od pięćdziesięciu ośmiu minut. Załoga nie potrzebuje mnie dopóty, dopóki nie dotrzemy do pływającej kry. A to jeszcze jakiś czas potrwa. Niech pan sobie wyobrazi, że odkąd trwa Noc Wojny, na północy pływa mnóstwo kry.

- Dryfująca kra? - zdziwił się Rubenstein i wypił szybko trunek, jakby pragnął się czym prędzej rozgrzać. Rzeczywiście, od razu poczuł działanie likieru. Wierzył w jego lecznicze właściwości.

- Na razie podlegacie moim rozkazom, ale kiedy kapitan Cole dojdzie do siebie, przejście pod jego komendę.

- Cholera! - mruknął Rubenstein i znowu się napił.

ROZDZIAŁ XI

Długie, biegnące przez sam środek brzucha cięcie, musiało być wykonane tak, aby odsłonić organy wewnętrzne. Rourke rozpoczął badanie żołądka. Asystował mu doktor Milton.

- Dlaczego wchodzi pan przez błony otrzewnej? - zapytał Milton.

- Po to, aby dostać się do części wpustowej żołądka. Przepona była pofałdowana. Zatrzymał się na moment, bowiem zauważył krwiak na wiążkach krezkowych.

- Muszę wyciąć ten krwiak.

Usuwanie go Rourke czujnie obserwował ścianę żołądka pomiędzy błonami. Znajdowało się tam uszkodzenie po kuli, prowadzące aż do tylnej ściany narządu.

- Że też to paskudztwo musiało się tu wpakować. Czuł, że słabnie i przeżywa jakieś załamanie nerwowe.

Oddychał ciężko, ale przemógł się. Wyjął kule oraz ich odłamki, a następnie precyzyjnie założył szwy.

Według zegarka wiszącego na ścianie gabinetu chirurgicznego, John spędził już półtorej godziny przy stole operacyjnym. Trzeba było posortować i ułożyć znalezione w brzuchu Natalii kule i odłamki. Pozostawienie we wnętrzu nawet najmniejszego odłamka mogło doprowadzić do poważnych komplikacji, a nawet śmierci. Wreszcie zapytał Milтона:

- Czy przygotował pan szwy zamykające?

- Jest pan więc gotów do zszycia? - usłyszał w odpowiedzi.

- Wkrótce będę.

- Jest pan pewien, że powinno być siedem kul? - Tak.

Prawdę mówiąc, wcale nie był pewien, czy tak jest. Od jaskrawego światła rozbolały go oczy, chciał zapalić papierosa. Powieki same zaczęły opadać, potrzebował snu. Ale przecież życie Natalii zależało od niego. „Psiakrew! Nie mogę się poddać!” - pomyślał i pracował dalej.

W otłuszczonej tkance tkwiła szósta kula. Była nie uszkodzona. Miał nadzieję, że zaraz znajdzie siódmą. Niestety, siódmej kuli nie było. Znalazł tylko pozłacaną osłonę. Gdzieś musiał znajdować się sam pocisk. Gdy rozważał, czy możliwe jest, aby kula wyszła na zewnątrz, odezwał się Milton:

- Czy to wszystko?

- Pocisk wykonany z ołowiu, zwykle otoczony jest częściową albo całkowitą osłonką. Jeżeli mamy do czynienia z nabojem typu G.I., to wyposażony jest on w kompletną osłonę. W jakiś sposób oddziela się on od naboju i kawałek ołowiu musi jeszcze gdzieś tu być.

Wziął jeszcze raz do ręki osłonkę i wtedy zauważył, że wewnątrz są jeszcze drobne opilki metalu, wielkości główki od szpilki. Jednak aby upewnić się, czy stanowią one całość naboju,

potrzebny jest mikroskop.

- Potrzebowałbym kogoś z mikroskopem - rzekł do Milтона - Moglibyśmy wtedy złożyć wszystkie elementy razem i przekonać się, czy czegoś nie brak. Nie możemy przecież pozwolić na to, aby cokolwiek pozostało w środku.

- Załatwię to - powiedział Milton i wyszedł. Zamknął na chwilę oczy i pomyślał o kobiecie leżącej na stole operacyjnym. - Natalia - wyszeptał.

ROZDZIAŁ XII

Paul Rubenstein odstawił filiżankę z trunkiem, bowiem nie chciał się upić. Kawa smakowała mu bardziej. Palenie papierosów zarzucił już kilka lat temu. Siedział teraz beczynnie, patrząc na ścianę. „Ciekawe - pomyślał - czy Rourke wie, że okręt znajduje się pod wodą. Pewnie mu o tym powiedzieli”. Najbardziej jednak interesowało Paula, jakie zadanie ma Natalia do spełnienia na tej wojnie. Kiedy myślał o niej, mimowolnie się uśmiechnął. Dziwiło go to, że o majorze KGB mógł myśleć z taką serdecznością, jego rodzice, choć nie byli bezpośrednio dotknięci przez holokaust, opowiadali mu o tych czasach. Słyszał też o SS i gestapo. Zdawał sobie sprawę z tego, że KGB było w gruncie rzeczy tym samym. Lecz ta kobieta była zupełnie inna.

Paul od sześciu godzin czekał na zakończenie operacji. „Trudno sobie wyobrazić, co musi odczuwać Rourke. Niewłaściwe rozpoznanie albo drgnięcie skalpela i kobieta, którą John tak kochał, może umrzeć. Strach pomyśleć!” - dreszcz przeszedł mu po plecach.

- Operacja skończona! Rubenstein zerwał się na równe nogi.

- John, czy wszystko jest...

Nie dokończył, bo oblicze przyjaciela zdradzało, że nie jest dobrze. Jego twarz była zarośnięta i wychudła.

- John, wyglądasz jakbyś zwiął z piekła!

- Bo to rzeczywiście było piekło. Tyle paskudnych kul, a szczególnie ten ostatni pocisk. Dziewięć fragmentów, a każdy z nich nie większy niż główka od szpilki. Można je było zestawić jedynie pod mikroskopem. Nie pamiętam już dobrze, jak dawno temu operowałem oficera w stopniu majora. Ręce mam tak sprawne jak wtedy, ale refleks już nie ten.

- A wiesz o tym, że znajdujemy się pod wodą?

- Czuję to.

- Co teraz zrobimy, John?

- Jeżeli wszystko zagoi się należycie, to Natalia powinna wstać z łóżka za tydzień. Do tego czasu nie będziemy roBill nic. Czy spotkałeś kapitana?

- Komandora Gundersena? Tak, to równy facet.

- Za to Cole nie da nam spokoju; te jego pogroźki nie brzmią optymistycznie.

- A co, zamierza wszcząć nową wojnę nuklearną? To jakiś świr.

- Muszę dowiedzieć się, o co chodzi. Spróbuję przez komandora Gundersena skontaktować się z prezydentem Chambersem lub pułkownikiem Reedem.

- Ludzie Gundersena zabrali mi broń. Nie mogłem nic poradzić. Miałem przeciwko sobie sześć osób.

- A ja schowałem pistolety. W razie czego mogą się nam przydać - uśmiechnął się Rourke.

- I świetnie, że ukryłeś trochę amunicji w tej wodoodpornej skrzynce. To naprawdę nie było głupie.

- Muszę koniecznie skontaktować się z Chambersem, aby potwierdził, czy Cole rzeczywiście działa w jego imieniu. Jeśli nie uda mi się nawiązać łączności, to może być niedobrze. Mam przeczucie, że z Cole'em i jego ludźmi jest coś nie tak. Jeśli jest szaleńcem, to w żadnym wypadku nie możemy dopuścić, aby użył tych sześciu pocisków. Słyszałem, jak mówił, że każdy z nich ma siłę osiemdziesięciu megaton. Zdajesz sobie chyba sprawę z tego, że jest to ogromna moc.

- A co właściwie jest między Cole'em a Natalią? - zapytał Paul.

Rourke nie zareagował. Zainteresował się za to butelką z likierem.

- Piłeś to, Paul?

- Owszem. Ty też spróbuj.

- Tak, ale dopiero wtedy, gdy Natalia zacznie ssać.

- Zacznie co? - zapytał zdziwiony Rubenstein.

- Zacznie ssać - powtórzył Rourke - Chodzi o jej żołądek. Jeżeli wszystko jest w porządku, to za sześć godzin powinien rozpocząć się proces trawienia. Gdy nie podejmie tej funkcji, trzeba będzie rozciąć szwy, a to jest niebezpieczne. Za sześć godzin dowiemy się. Przez ten czas chyba prześpię się trochę.

- Wiem, co czujesz, John, ale zrobiłeś wszystko, co w twojej mocy, aby ratować jej życie.

- Myślałem ostatnio o wielu różnych rzeczach i wiem, że ty również zauważyłeś, co się ze mną dzieje. Powiem ci, zakochałem się w Natalii, choć nie przestałem kochać mojej żony.

Nie powiedział już nic więcej, sięgnął do kieszeni koszuli i wyciągnął cygaro. W blasku zapalonej zapalniczki twarz Johna wydawała się jeszcze bardziej zarośnięta i zmęczona.

ROZDZIAŁ XIII

Sarah Rourke otworzyła oczy. Promienie słońca, odbijając się od szyby otwartego okna, ogrzewały jej twarz. Łagodny powiew ciepłego wiatru poruszał lekko firankami. Usiadła na łóżku, przetarła oczy i przeciągając się poczuła, że w nocnej koszuli jest jej za gorąco. Zbudziła się w znakomitym nastroju. Hartowała ciało, by móc przeciwstawić się klimatycznemu oblędowi Nocy Wojny. Była wiosna, ale ta szaleńcza wojna mogła ją wkrótce zmienić w zimę. Ściągając kołdrę i prześcieradło, usiadła na brzegu łóżka, nogi dotykały podłogi. Podeszła do okna. Na dworze panowała cisza, nie było słyhać ani ujadającego psa, ani bawiących się dzieci.

Odeszła od okna i stanęła przed lustrem, by dopiero po chwili uświadomić sobie, że nie ma nic na sobie. Przed momentem ściągnęła nocną koszulę i odrzuciła na łóżko. Przyglądała się swojej figurze i stwierdziła, że piersi nie są tak jędrne jak kiedyś. Ale specjalnie jej to nie dziwiło, urodziła przecież już dwoje dzieci. Jej smukła sylwetka to także skutek ciągłego napięcia i walki z przeciwnościami Nocy Wojny.

Otworzyła wreszcie szafę i zastanawiała się, w co się ubrać. Najpierw wciągnęła majtki, a potem zdjęła z wieszaka żółtą sukienkę. Podeszła do okna: „Zanosi się na piękny dzień” - pomyślała. - Może zjawi się syn Mary z wieściami od Johna!”

Zaczęła szczotkować długie włosy. Nie ścinała ich od lat i jakoś nadal nie miała na to ochoty. Odłożyła szczotkę i z górnej szuflady szafki wyjęła tasiemkę z pomponikiem, którą związała włosy w koński ogon.

Otworzyła jeszcze dolną szufladę, by wyjąć z niej niebieską bluzkę z krótkimi rękawkami. Leżała tam od dłuższego czasu, ale wyglądała wciąż porządnie. Sara lubiła ją nosić. Sięgnęła po nią, lecz tkanina zahaczyła o coś. Była to „czterdziestka piątka” Johna, którą jej zostawił do obrony. Wzięła do ręki pistolet i nacisnęła przycisk zwalniający magazynek. Komora ładunkowa była pusta. Przesuwając zamek tam i z powrotem, w pewnym momencie zauważyła, że skóra jej dłoni została zwilżona drobnymi kropelkami oleju. „John starannie zakonserwował broń” - pomyślała.

- Mój Boże, jak ja wyglądam - rzekła do siebie. - Ta żółta sukienka i te cudowne promienie słońca, a ja z pistoletem.

ROZDZIAŁ XIV

Rourke zobaczył ich - Michaela i Ann. Biegli śmiejąc się. Znajdowali się na plaży i bawili się z falami uderzającymi o brzeg. Ich spodenki były mokre od pieniającej się wody. Starali się uciec jak najdalej od niej, ale pięty zapadały się w miękki, rozmyty piasek. Po chwili fale cofały się, a dzieci były szczęśliwe, że udało się im przechytrzyć morze. Wyciągnął szyję, aby móc objąć wzrokiem największą część plaży. Pragnął dojrzeć Sarah. Musiała tu przecież być, skoro są dzieci.

Chciał krzyknąć do Michaela i Ann, nie mógł jednak nacieszyć się widokiem ich beztrioskiej zabawy. Słyszał ich śmiech. Zauważył, że Ann urosła, ale poza tym nie zmieniła się. Rozkoszny, mały dzieciak, szczęśliwa dziewczynka, która ciągle chichocze. John też się roześmiał.

„Ale gdzie jest Sarah, dlaczego jej nigdzie nie widać?”

Zauważył znów Michaela, który teraz znajdował się całkiem blisko niego. Jego twarz była poważniejsza i dojrzała, niż mu się przedtem wydawało. Był wyższy i dobrze zbudowany, wydawał się silniejszy.

Wtedy zauważył kogoś leżącego na plaży. Była to kobieta w stroju plażowym.

Zaczął biec. Lornetka zwisająca na pasku, odbijała się od klatki piersiowej.

- Sarah! - krzyknął

„Ona nie słyszy, drzemie, ale dlaczego nie słyszą mnie dzieci?”

Ostre ziarenka piasku wbijały się w stopy, ale do kobiety było już niedaleko. Wreszcie dotarł. Stał obok niej, ale nie odwróciła się.

- Sarah, próbowałem wracać jak najszybciej. Nawet nie masz pojęcia, jak bardzo tego chciałem. Ale trzeba było wziąć udział w tych bitwach.

Nie odpowiedziała, nie poruszyła się nawet. Przyklęknął obok niej na piasku. Ta kobieta z drobnymi piegami na ramionach i rozwianymi włosami była mu zawsze bliska. Nie mogła go przecież teraz zignorować. Dotknął jej ciała i zamiast przyjemnego ciepła, jakiego się spodziewał, poczuł chłód.

- Sarah - szepnął zmęczony.

Przycisnął jej rękę do siebie, dotknął palców. Były wilgotne i zimne.

- O Boże! - wykrzyknął drżącym głosem. Nagle tuż obok niego znaleźli się Michael i Ann.

- Dlaczego tak długo nie wracałeś? - zapytał chłopak głosem pełnym goryczy i pretensji.

- Dlaczego nie wracałeś, tatusiu? - płaczkliwie zapytała dziewczynka. Ale Rourke nie odpowiedział, gdyż wiedział, że dzieci i tak go nie zrozumieją.

- Wasza mama umarła - wyszeptał.

Spod otwartych powiek zobaczył lazurowo-niebieskie oczy.

- Natalia - usłyszał swój szept. Ale słyszał też głos córki:

- Teraz już wiesz Michael, dlaczego tatuś nie wracał. Odwrócił się, by spojrzeć na dzieci i powiedział:

- Nie, to nieprawda.

Ale one uciekły już w stronę morza. Śmiały się znowu. Lecz był to śmiech pusty i obcy. Trzymał w ramionach ciało Sarah z twarzą Natalii. Czyżby postradał zmysły?

- John! John! John!

Rourke otworzył oczy i w jasnej smudze światła dochodzącego z międzypokładzia, ujrzał twarz Paula Rubensteina.

- John, czy dobrze się czujesz? Krzyczałeś przez sen.

- Co się stało Paul?

- Doktor Miler twierdzi, że Natalia umiera. Dlatego cię budzę.

Rourke wyskoczył z koi i szybko zbiegł na pokład. Przyjaciel podążył za nim.

ROZDZIAŁ XV

- Nie pozwolę ci umrzeć! - krzyczał do Natalii, chociaż wiedział, że i tak go nie słyszy.

- Doktorze Rourke!

- Otworzę ją jeszcze raz. Możliwe, że źle obliczyłem i został w niej jeszcze odłamek, którego nie zobaczyłem.

- Ale ona wykrwawi się na śmierć.

- Otwieram ją.

- Może trochę później, wygląda pan na bardzo wyczerpanego.

- Nie, nie! Trzeba natychmiast. Zwlekanie tylko pogorszy jej stan.

- Wobec tego idę po tych dwóch ochotników, którzy deklarowali się oddać krew.

- Dobrze, niech pan zapamięta ich nazwiska.

Nie dopuszczał do siebie myśli o jej śmierci. Pełen ufności w powodzenie przystąpił do operacji.

Przy szwie zauważył wyciek płynów żołądkowych zmieszanych z krwią.

- Coś jest nie w porządku z żołądkiem - zauważył asystujący mu cały czas doktor Milton.

I rzeczywiście. Kula tkwiła w ścianie żołądka. Dotknął ciecia, a po wyjęciu pocisku pozwolił doktorowi Miltonowi zszyć ranę. Spojrzał na zegarek ścienny. Zajęło mu to osiemnaście minut.

Zmęczony, ale zarazem szczęśliwy, że wszystko, co niepotrzebne, zostało już z wnętrza Natalii wydobyte, bez pośpiechu ściągnął rękawice.

Zbliżył się Kelly, aby mu pomóc, lecz Rourke skierował go do doktora Milтона.

- Tam jest pan bardziej potrzebny.

Ściągnął zakrwawione rękawice i zdjął fartuch. Nie opodał, w białym emaliowanym pojemniku, leżała kula. Wziął ją do ręki i schował do kieszeni. Miała mu odtąd przypominać o dwóch rzeczach: o ludzkiej śmiertelności i omyślności. I jeszcze o czymś - o wytrwałości - dodał w myśli.

ROZDZIAŁ XVI

Sarah przechadzała się z rękoma w kieszeniach sukni. Wysoka trawa łaskotała jej odsłonięte nogi, ciepłe promienie słoneczne ogrzewały całe ciało. Czowała, że odkąd zaczęła się Noc Wojny i John opuścił jej dom, dokonała się w jej psychice jakaś przemiana: nie potrafiła jednak jej zdefiniować. Nastąpiła ona w chwili, kiedy zmuszona była do sięgnięcia po broń, którą zostawił jej mąż. Przekonana była, że tego procesu nie da się nigdy odwrócić, po tym, jak któregoś dnia musiała zastrzelić kilku bandytów. Niestety, musiała. Od tamtego czasu zabijała wiele razy. Teraz nie robi to na niej żadnego wrażenia. Na początku owszem, ale już nie teraz.

Ciekawe, czy w Johnie nastąpiła podobna przemiana? On zawsze trzymał w pogotowiu różne strzelby i noże. Ogarnięty był obsesją ciągłej gotowości do obrony. Nie mogła przedtem tego zrozumieć, lecz teraz przyznawała mu rację. Czy kiedykolwiek go jeszcze odnajdzie, czy on odnajdzie ich?

Zatrzymała się w miejscu, gdzie polna droga zwężała się i wcinając się w naturalne obniżenie terenu, wiodła do pobliskiego lasu. Sarah, stojąc nieco wyżej, mogła doskonale obserwować skraj lasu.

W pewnym momencie spostrzegła jakieś poruszenie w gęstwinie krzewów i drzew. Przed wybuchem wojny wszelkie szelesty w zaroślach były czymś naturalnym; ptaki baraszkowały wśród liści albo wiewiórki skakały po gałęziach. Była już kiedyś świadkiem, gdy wiewiórka, skacząc z jednego drzewa na drugie, nie mogła utrzymać się na zbyt cienkiej gałęzi i spadła na swe małe łapki, tuż przed jej nogami. Lecz szmer, który teraz dochodził z zarośli, był zupełnie inny. Zauważyła, że jedna z gałęzi lekko ugina się. Ktoś ją obserwował. Nasłuchiwała uważnie, mocno zaciskając pięść w kieszeni sukni. Znowu coś się poruszyło.

Zastanawiała się, w jaki sposób najlepiej wrócić. Od domu dzieliło ją dwieście metrów łąki na pagórkowatym terenie, a potem jeszcze przynajmniej ze sto metrów drogi. W domu czekał na nią, leżący przy kuchennych drzwiach pistolet AR - 15. „Trzeba jak najszybciej tam dotrzeć” - ponaglała się.

Przeklinała siebie w duchu, że zachowała się tak głupio, nie zabierając ze sobą pistoletu.

„Trzeba działać” - pomyślała.

Odwróciła się i zaczęła iść, nie za wolno, ale i nie za szybko, aby nie wzbudzić podejrzeń.

Zastanawiała się, kim mogą być osobnicy kryjący się w lesie. Członkowie Ruchu Oporu? Nie, ci by się nie chowali. Może sowieckie wojska? Też nie, oni zachowywali się zazwyczaj głośno i wyzywająco. No więc, pozostają tylko bandyci.

Samotna kobieta, która wpadnie w ich szpony, nie może liczyć na litość. Widziała już, jak

postępują z kobietami i z dziećmi. Ale w szczególności okrutnie obchodzili się z kobietami. Budzące strach wspomnienia spowodowały, że przyspieszyła kroku, zrywając źdźbła długiej trawy, aby jednocześnie odwrócić się i rozejrzeć w swoim położeniu.

Ujrzała najpierw sześciu, a potem jeszcze kilku. Wydawało jej się, że z każdym spojrzeniem zbiorów przybywało. Szczególnie jeden z bandziorów rzucał się w oczy. Był wysoki, długowłosey.

Strach przejmował ją coraz bardziej, aż wreszcie wykrzyknęła:

- Bandyci! - I zaczęła uciekać.

ROZDZIAŁ XVII

Serce waliło jak miotem, a płuca bolały z niedoboru tlenu. Sukienka owijała się wokół nóg. Wszystko to utrudniało ucieczkę.

Naraz usłyszała warkot silników. Hałas wzrastał z każdą chwilą.

Odwróciła głowę, aby zobaczyć, co się za nią dzieje. Wtedy stopą zahaczyła o kępy wysokiej trawy. Straciła równowagę i upadła twarzą na piaszczysty grunt.

Na motocyklach zbliżało się trzech mężczyzn. Słyszała, jak przekrzykując ryk silników, wołali:

- Ta kobieta musi być nasza!

Wyplątała wreszcie nogę i zaczęła uciekać dalej. Jeszcze tylko pięćdziesiąt metrów zostało do skraju łąki, ale zdawała sobie sprawę, że nie ma już szans.

Kiedy motocykliści znaleźli się tuż za nią, odwróciła się i zacisnęła pięści. Pierwszy zwolnił, dwaj pozostali jechali tuż za nim.

- Warto było się tak męczyć, kobieto? - szydził bandyta.

- Być może warto - odpowiedziała Sarah, z trudem łapiąc oddech.

- Oho! Być może, powiadasz. Podobają mi się zdyszane cizie, łatwiej wtedy założyć na szyję sznur i pociągnąć za motocyklem. Ale być może zaoferujesz mi w zamian coś lepszego? - zarechotał.

Kobieta zamilkła.

Nie wyłączając silnika, mężczyzna zeskoczył z maszyny. Sarah jeździła już takim motocyklem razem z Johnem, ale sama nie miała wprawy. Myślała jedynie o tym, jak pokonać te dwieście metrów dzielące ją od domu.

Bandyta zbliżył się do niej na odległość jednego metra. Był brudny i spocony. Wyciągnął ręce, usiłując chwycić Sarah za włosy i szyję. Rozstawiła palce obu rąk i pchnęła je z całej siły prosto w twarz przeciwnika. Ostre, choć niezbyt długie paznokcie wbiły się w oczy zbira, następnie wprawnym ruchem kopnęła go w krocze.

Szamocząc się z przeciwnikiem trafiła ręką na pistolet tkwiący za jego paskiem od spodni. Chwyciła za kolbę i starała się go wyrwać. Był to automat. Z trudem utrzymała go w wilgotnej dłoni. Cofnęła się o krok, gdy napastnik osunął się w dół, próbując ją jeszcze złapać za kolana.

Pistolet był naładowany.

Dwaj motocykliści podążali w jej kierunku. Pociągnęła za spust, pistolet drgnął w jej rękach, lecz strzelała dalej. Bandyta znajdował się blisko, trafiła go w szyję, krew pokryła czerwienią cały jego tors.

Zacząła strzelać do drugiego motocyklisty, który trafiony już wcześniej trzymał kierownicę tylko jedną ręką, drugą przyciskał do brzucha. Po chwili razem z maszyną zwałił się na ziemię.

Wtedy ten leżący obok niej pociągnął ją za nogę. Upadając zdążyła wystrzelić prosto w głowę napastnika. Szybko podniosła się z ziemi.

Środkiem łąki nacierała reszta bandy. Niektórzy na motocyklach, inni pieszo. Wśród nich kobiety; wszyscy byli uzbrojeni. Nie namyślając się długo, wsiadła na motor pozostawiony z zapalonym silnikiem. Porywisty wiatr targał jej sukienkę. Ruszyła. Maszyną zachwiało, z wielkim wysiłkiem zdołała jednak utrzymać kierownicę. Był to motocykl o dużej mocy. Gdy przejeżdżał przez trawiaste kępy, trząśł niemiłosiernie. Czuła ból we wszystkich mięśniach. Już wcześniej wyrzuciła pistolet, nie miała siły go zabrać. Pędziła dość szybko i nie była pewna, czy zdoła zatrzymać motocykl, gdy znajdzie się przed domem.

A z domu dochodził do jej uszu odgłos strzelaniny. To chyba Mary Mulliner albo jej służący, ale czy Michael i Ann są bezpieczni? Rozpoznała głuchy terkot automatu AR-15.

Wjechała na podwórze, goniona przez całą zgraję zmotoryzowanych bandziorów. Budynek rósł w oczach. Naciskała na hamulec, ale maszyna zwolniła nieznacznie. Całym ciężarem ciała stanęła na pedałach hamulców, lecz i to na niewiele się zdało. Gdy znalazła się o kilka metrów od schodów prowadzących do kuchni, gdzie znajdował się starannie wypielegnowany trawnik, zeskoczyła z motoru. Siła wyrzutu sprawiła, że upadła przy samym wejściu do kuchni.

Jadący za nią bandyta nie był w stanie ominąć opuszczonego przez Sarah motocykla. Obie maszyny zderzyły się z impetem, a kierowca runął wprost wotwarte okno kuchni. Bandyta od razu ruszył w kierunku swej ofiary. Sarah chwyciła leżącą na ganku piłkę i rzuciła nią w napastnika. Zyskując ułamki sekundy, skoczyła ku tylnym drzwiom. Stały tam oparte o ścianę żelazne grabie. Chwyciła je i uderzyła z całej siły. Oprych krzyknął przeraźliwie i złapał się obiema rękami za twarz. Wtedy padł strzał. Bandyta był martwy. To strzeliła Mary Mulliner z AR-15.

- Pośpiesz się, Sarah! - krzyczała Mary.

Gdy znalazła się na korytarzu, wyrwała pistolet z rąk Mary. Ta nie sprzeciwiła się. Skierowała lufę na zewnątrz. Nadciągali dalsi motocykliści. Strzelała raz po raz. Jeden po drugim spadali ze swych motorów.

- Uważaj! - usłyszała głos Mary.

Odwróciła się. Przez kuchenne okno gramolił się z pistoletem w rękę jeden z bandytów. Sarah złapała leżący na stole rzeźnicki nóż i dźgnęła nim w plecy napastnika. Ten zsunął się z parteru na podłogę. Teraz dopiero zauważyła skulone dzieci, siedzące pod ścianą w kuchni. Były przestraszone ale zachowywały się spokojnie. - Michael! - zawołała. - Skocz na górę i przynieś stamtąd karabin i pistolet. Zabierz też wszystkie naboje, jakie znajdziesz. Pośpiesz się!

Na podwórze znów wjechało kilku motocyklistów.

- Mary, przeszukaj tego łotra. Podaj mi jego strzelbę. Możemy jej jeszcze potrzebować.

Po raz pierwszy ładowała broń. Zabijała bez skrupułów.

ROZDZIAŁ XVIII

John Rourke stracił poczucie dnia i nocy. Kiedy się obudził, przypomniał sobie, że na Wschodnim Wybrzeżu, gdzie po raz ostatni widział ląd, był akurat środek dnia. Świetlna tarcza zegara raziała go w oczy, poza tym panowała całkowita ciemność.

Nie znał się na automatycznych okrętach podwodnych, toteż nie wiedział, czy jeszcze znajdują się pod lodem czy już nie. Sarah i dzieci są pewnie gdzieś w Georgii albo w Karolinie, a może w Alabamie czy nawet w Tennessee.

Podniósł się wreszcie z koi i włączył światło. Spojrzał w lustro i stwierdził, że najwyższa pora na golenie. Pociągnął nosem i poczuł nieprzyjemny zapach swego ciała. „Trzeba się wykapać! No i wreszcie czymś zająć” - pomyślał.

Golenie i kąpiel zajęły mu około pół godziny. Odświeżony i czysty poszedł poszukać Paula Rubensteina.

Gdy przechodził wąskim korytarzem, mijając po drodze niezliczoną ilość małych wodoszczelnych drzwi, zastąpił mu drogę jakiś oficer.

- Czy doktor Rourke? - zapytał.

- Tak - odparł John.

- Kapitan prosi, aby zszedł pan do niego na mostek. Zaprowadzę tam pana.

- Dobra!

Poszedł za młodym oficerem. Po chwili porucznik zapytał:

- Jak się miewa „nasz” sowiecki major?

Rourke uśmiechnął się. Trudno mu było myśleć o Natalii Anastazji Tiemerownej jako o rosyjskim majorze. Ale młody Amerykanin tego nie rozumiał.

- Czuje się dobrze, poruczniku. Jest słaba, ale sypia już normalnie. Uruchomiły się mechanizmy obronne organizmu. Już wkrótce powinna całkowicie wyzdrowieć.

- Cieszę się ogromnie, tym bardziej, że płynie w niej trochę mojej krwi.

- A tak, rzeczywiście, przypominam sobie pana. Był pan dawcą, gdy Natalia była operowana po raz drugi.

- Chyba dość dużo musiałem jej oddać, bo spałem potem jak zabity.

- To tak samo jak ja, chociaż nie oddawałem krwi w ogóle.

Młody porucznik wywarł na nim bardzo miłe wrażenie. Szli wąskimi korytarzykami podpokładzia, gdy w pewnej chwili Rourke zapytał:

- W jakim celu komandor Gundersen chce się ze mną spotkać?

- Nie wiem proszę pana. Jesteśmy już na miejscu.

Mówiąc to, porucznik wszedł do wodoszczelnej kabiny, która wydawała się bardzo obszerna - trudno było uwierzyć, że to okręt podwodny. Pracując w służbie ochrony CIA, miał możliwość krótkiego pobytu na podwodnych okrętach atomowych, ale takiego jak ten jeszcze nie widział. Rozmiarami i tonażem prawdopodobnie dorównywał niejednemu niszczycielowi.

Zainteresował się podświetlaną tablicą z nazwiskami członków załogi. Gdy zaczynał się w nią wczytywać, ukazał się komandor Gundersen.

- Jak się panu podoba moje stanowisko dowodzenia, doktorze Rourke?

- Jest imponujące. Gdy wrócę do domu, zbuduję takie moim dzieciom - zażartował.

- No, a jak tam rosyjski major?

- Natalia Tiemerowna?

- Ma się lepiej, prawda?

- Wie pan, zawsze istnieje możliwość infekcji. Ale myślę, że wszystko będzie dobrze. W ciągu tygodnia powinno się wyjaśnić. Na razie jest jeszcze osłabiona.

- Bądźmy więc dobrej myśli. Proszę wejść, doktorze. Gdy Rourke przekroczył próg wodoszczelnych drzwi i znalazł się w środku, Gundersen polecił marynarzowi stojącemu obok:

- Charlie, ustaw ostrość peryskopu!

- Tak jest, kapitanie peryskop ustawiony!

- W porządku. Charlie. Chodźmy teraz popatrzeć. Gundersen chwycił za rączkę peryskopu i powiedział do Rourke'a:

- Zanim łódź się zanurzy, lubię popatrzeć na pływające bryły lodu. Proszę spojrzeć, doktorze.

- Wszędzie widzę tylko białą lodową pokrywę.

- Proszę pokręcić dźwignią peryskopu, aby się nieco podniósł.

Wolno obracał korbą, aż ujrzał dryfujące na otwartej przestrzeni morza masywne bloki lodowe. Lekko falująca woda zalewała obiektyw peryskopu.

- Jaką powierzchnię one zajmują? - zapytał.

- Odkąd straciliśmy wszystkie nasze satelity, nie wiemy tego dokładnie. Ale według naszych ocen, pół lodowych ciągle przybywa.

- Widok jest wspaniały, ale i przerażający.

- Schować peryskop! - rozkazał Gundersen. Następnie zwrócił się do stojącego w pobliżu oficera.

- Przejmij dowodzenie okrętem. Zanurz go trochę i włącz rozkruszanie lodu.

- Przygotować łódź do zanurzenia! - wydał komendę oficer.

Gundersen podszedł do Rourke'a.

- Zapraszam pana do mojej kabiny. Pogawędzimy trochę. Co pan na to?

- Z przyjemnością - odparł John.

Dotarli do drewnianych drzwi, na których przytwierdzona była tabliczka z napisem „Komandor Robert Gundersen - kapitan okrętu”. Komandor otworzył drzwi i zaprosił gościa do środka. Znajdowali się w apartamencie składającym się z dwóch pomieszczeń. Jedno, bardziej przestronne, stanowiło gabinet z biurkiem, drugie zaś, skromniejsze, było sypialnią.

- Proszę siadać, doktorze - Gundersen wskazał kanapę. Gdy usiadł, Gundersen zapytał:

- Kawy?

I nie czekając na odpowiedź, włączył znajdujący się na jednej z półek biblioteczki czajnik.

- Chętnie. A czy można tutaj palić?

- Oczywiście, mamy urządzenia wentylacyjne.

W tej samej chwili Gundersen postawił na stoliku przed gościem filiżankę z parującym płynem. Zapachniało kawą i tytoniem. Komandor usiadł naprzeciwko w skórzanym fotelu.

- To pan jest tym człowiekiem, którego tak usilnie poszukują? Jest pan podobno byłym funkcjonariuszem CIA, czy to prawda?

- Tak - przyznał Rourke i zaciągnął się cygarem. Nad ich głowami uniosła się chmura szarego dymu. - I to sam prezydent polecił pana odszukać?

- Tak twierdzi Cole.

- Usłyszałem od niego to samo.

- W jakich okolicznościach nastąpiło pana spotkanie z Cole'em, komandorze?

- Kilka nocy z rzędu wypływaliśmy na powierzchnię, by połączyć się drogą satelitarną z naszym dowództwem. W końcu udało się nam, chociaż laserowa komunikacja satelitarna w zasadzie już nie istniała. Nawiązaliśmy kontakt z kwaterą główną Stanów Zjednoczonych. Przekazano nam wtedy informację, że wysyłają do nas kogoś, kto się nazywa Cole, z niewielkim patrolem wojskowym i w niezwykle pilnej misji. Zobowiązano nas do udzielenia mu wszelkiej pomocy.

- Czy informację tę przekazał prezydent Chambers?

- Nie, polecenie wydał pułkownik Reed, szyfrem oczywiście. Zameldowałem, że poza torpedami nie posiadamy już żadnej broni i w razie zaatakowania nas przez Rosjan, możemy mieć poważne kłopoty. Wtedy powiedziano nam, że floty sowieckiej w tym rejonie już nie ma. Podobno cała marynarka ocalała i znajduje się na Morzu Śródziemnym.

- Czyli w jednym z najpiękniejszych miejsc na świecie - wtrącił Rourke.

- Kiedyś zapewne tak było, lecz teraz to największy zbiornik krwi, a poza tym jest to teren skażony. To jest wojna atomowa i rozumie pan, co może czuć dowódca okrętu nuklearnego.

- Ale tu nie jest jeszcze tak źle.

- No, ale może być, i to już niedługo. Pół lodowych ciągle przybywa, a kiedy dojdzie do tego, że kra zaciśnie się wokół nas, może to oznaczać koniec.

- Chyba nie dopuści pan do tego, komandorze. Ja na przykład muszę odnaleźć jeszcze moją rodzinę.

- Żonę i dwoje dzieci, czy tak?

- Tak - odpowiedział. - Ale jakie są zamiary Cole'a?

- Sądziłem, że już panu o nich mówił. Tak w skrócie, chodzi o znalezienie bazy powietrznej, jeżeli oczywiście jeszcze istnieje. Moim zadaniem jest wysadzenie was na ląd jak najbliżej Filmore. Wy musicie dotrzeć do bazy i zdemaskować sześć rakiet, a następnie wrócić na okręt. Samo przekazanie rakiet dowództwu Stanów Zjednoczonych będzie należało do nas.

- Co pan myśli o Cole'u?

- Nie robi dobrego wrażenia, ale ma rozkazy podpisane przez prezydenta Chambersa. Muszę się z nim liczyć.

- Czy ufa mu pan?

- Nie za bardzo, ale wie pan, gdy posiada rozkazy prezydenta jestem zobowiązany udzielić mu pomocy. Aby nie doprowadzić do konfliktów między wami, poleciłem moim ludziom odebrać broń pańskiemu przyjacielowi, Rubensteinowi. Rozumie pan, że nie mogłem dopuścić do podziurawienia mego okrętu, gdyby przypadkiem zachciało się wam strzelaniny - zażartował Gundersen.

- O, czyżby pan sądził, że bylibyśmy zdolni do tego?

- No... Przeważałości nigdy za wiele, zwłaszcza kiedy ma się do czynienia z bronią. Ale postanowiłem wydać wam ją jak tylko wyruszyte do Filmore, wbrew Cole'owi. A co do major Tiemerownej, to muszę powiedzieć nie mam wobec niej żadnych planów. Zwłaszcza chłopcy, którzy oddali dla niej krew. Słyszałem też, że gdy walczyła na Florydzie, uratowała życie wielu Amerykanom.

- Tak, to prawda - powiedział John.

- Na razie jednak, dopóki Tiemerowna przebywa na łodzi, nie mogę zgodzić się na wydanie jej broni oraz swobodne poruszanie się. Na tym okręcie są pomieszczenia z torpedami, które w razie eksplozji pošlą nas na dno. Być może, zastosowane przeze mnie środki ostrożności są niepotrzebne, nie mogę działać niezgodnie z przepisami. Ona jest przecież Rosjanką.

- Natalia ma na pewno ochotę wysadzić ten okręt w powietrze - odezwał się ironicznie Rourke.

- A wracając do Cole'a - kontynuował Gundersen - to niech pan będzie spokojny. Dopóki przebywa na okręcie, pozostaje pod moimi rozkazami.

- Dziękuję, komandorze.

- Aha, mam coś dla pana. Mnie się to już nie przyda, a panu na pewno tak.

Kapitan wstał z fotela, podszedł do biurka i z dolnej szuflady wyjął masywną, mosiężną skrzyneczkę. Kiedy ją otworzył, Rourke zauważył na dnie sześć magazynków do Detonics'a.

- Miałem kiedyś ten pistolet - rzekł Gundersen - ale pewnego razu wyleciał mi za burtę. Ale wiem, że pan zrobi z nich jeszcze użytek. Proszę je przyjąć ode mnie.

- Dziękuję, nie będę się czuł tak bezbronny. Spojrzeli na siebie. Czy Gundersen zrozumiał sens jego słów?

ROZDZIAŁ XIX

John Rourke siedział bez ruchu, zasłuchany w równy oddech śpiącej Natalii. Minęła już prawie godzina od chwili, gdy opuścił Gundersena. Rozmowę z Pauliem na temat celu wyprawy odłożył na później. Chciał teraz wszystko spokojnie przemyśleć. Co by było, gdyby nagle odnalazł Sarah i dzieci?

Ostatnio nie miał czasu, aby zastanowić się nad tym. W ciągu paru tygodni, które minęły od wybuchu wojny, poznał dwoje ludzi: Natalię i Paula. Oni mogli się bardzo przydać w czasie eskapady...

Kobieta budziła się. Zbliżył się do łóżka i położył rękę na jej ramieniu. Otworzyła piękne, błękitne oczy. Uśmiechnęła się.

- Kocham cię - powiedziała szeptem i znowu przymknęła powieki.

Stał jeszcze przez chwilę przy łóżku patrząc na śpiącą. Była mu tak bliska.

ROZDZIAŁ XX

Sarah Rourke włożyła pełny, trzydziestonabojowy magazynek do pistoletu M-16. „Odziedziczyła” tę doskonałą w działaniu broń po jej poprzednim właścicielu - bandycie. Pociągnęła za spust. Rozległy się trzy pojedyncze strzały. Napastnik dostał w głowę, a jego towarzysze jakby zapadli się pod ziemię.

Odparła pierwszy atak, który nastąpił wczesnym rankiem, w czasie następnego pomagała jej Mary Mulliner - w jej rękach grzmiał CAR-15, a stary Tim Beachwood posługiwał się własną, farmerską strzelbą. Zajął on stanowisko od frontu domu, a huk jego broni odróżniał się od innych wystrzałów.

- Michael! - krzyknęła Sarah. - Skocz i zobacz, co u Tima. Pośpiesz się i bądź ostrożny.

- Dobra! - odkrzyknął, a kiedy spojrzała w jego kierunku, już go nie było.

Sześciolatka Ann siedziała pod kuchennym stołem i napełniała magazynki nabojami. Nie umiała jeszcze liczyć zbyt dobrze i napełniała je trzydziestoma nabojami, dwudziestoma pięcioma, dwudziestoma ośmioma, a także jakimś cudem(mój Boże, to dziecko ma tyle siły) w magazynku znalazło się trzydzieści jeden nabo.

Sarah wypuściła nową serię, odpowiadając na ogień bandytów, strzelających z furgonetki pędzącej na tył domu.

- Przygotuj pełne magazynki, Ann! - krzyknęła nie odwracając głowy.

- Już pędzę, mamó!

- Dzielna dziewczynka - pochwaliła ją matka.

Następna furgonetka mknęła przez ogród warzywny, a mężczyzna znajdujący się na niej, wymachiwał nie strzelbą, lecz płonąca pochodnią. Nacisnęła spust mierząc uważnie. Pochodnia wypadła z rąk napastnika, a on sam przetoczył się po skrzyni ładunkowej samochodu, padł plecami na ziemię i znieruchomiał. Rozległ się dźwięk pękających szyb.

- Zostań tam, gdzie jesteś - Annie! - wrzasnęła matka.

- Chcieli nas spalić! - Mary Mulliner z trudem łapała oddech.

- Na to wygląda - kiwnęła głową.

Kiedy rozpoczął się trzeci atak, Sarah straciła nadzieję na jego odparcie. Przykazała Mary oszczędzać amunicję, ile tylko się da. Kiedy rozpoczynała się walka, posiadały w sumie 379 nabo. Pozostała z tego zapasu mniej niż połowa. Wystarczyło to na powstrzymanie natarcia większej liczby bandytów przez krótszy czas. Stary Tim dysponował na początku stu trzema nabojami do swojego winchestera. Ile mu z tego pozostało? Nie miała nawet odwagi zapytać. Mieli jeszcze pistolet ACP 45 i sto nabo do niego, ale postanowiła zachować je na czarną godzinę, kiedy trzeba będzie odpierać

ataki złoczyńców z bliskiej odległości. Cztery naboje muszą pozostać w rezerwie. Jeden będzie dla Jenkins, ukrywającej się razem z Timem i pomagającej mu. Drugi dla Mary Mulliner. Dwa ostatnie dla dzieci.

Pomyślała, że musi jednak pozostawić na sam koniec przynajmniej pięć, a nie cztery naboje. Nacisnęła spust M-16. Pocisk trafił w szybę trzeciej z kolei furgonetki, pędzącej z tyłu farmy. Jednak samochód jechał dalej. Na skrzyni ładunkowej ukazał się facet wywijający pochodnię.

Wycelowwała jeszcze raz, napastnik zwałił się jak kłoda, gubiąc gdzieś pochodnię.

Zrozumiała ich taktykę. Chcieli ją zmusić do jak najszybszego zużycia amunicji. Ataki będą następowały jeden po drugim, aż w końcu dojdzie do rozstrzygającego starcia. Trzeba zastanowić się nad taktyką obronną.

- Tim, Tim! - zawołała.

- On chyba nie żyje, mamó - odpowiedział Michael. Poczowała skurcz serca. Jeśli to prawda, to kto na Boga zastąpi Tima na stanowisku?

- Umiem obchodzić się z bronią. Tata nauczył mnie trochę.

Przymknęła oczy.

- Weź pistolet Mary i zostań tutaj, Michael. Przeżegnała się patrząc w niebo.

ROZDZIAŁ XXI

Michael Rourke i Mary Mulliner czuwali przy oknie. Chłopiec patrzył na matkę z bronią w ręku; zaczynał rozumieć, co czuje człowiek, który czeka na ostateczną walkę.

- Może nie będziesz musiał nikogo zabijać, Michael.

- Raz, a może dwa razy zabiłem człowieka.

- Jesteś jeszcze małym chłopcem.

- Skończyłem już osiem lat, ciociu Mary.

- Michael...

- Nie martw się ciociu, wszystko będzie dobrze. Jednak naprawdę, nie był wcale taki pewny siebie i drżały mu ręce. Ojciec zapoznał go tylko z podstawami strzelania. Miał pięć lat, kiedy zabrał go do lasu i pozwolił mu wziąć po raz pierwszy pistolet do ręki. Pamiętał, że był to Python.

- Ależ on strasznie „kopie”, tato - stwierdził wówczas po oddaniu pierwszych strzałów. - To Magnum 357. - Czy to dobra spluwa? - Doskonala. Jak będziesz trochę starszy, pozwolę ci wypróbować „czterdziestkę czwórkę”. - Wolałbym „czterdziestkę piątkę”. - Trzeba być bardzo ostrożnym z „czterdziestką piątką” i uważać na palce. Jak dorośniesz, to zobaczymy.

Pozwolił jednak Michaelowi postrzelać z CAR-15. Chłopiec uśmiechnął się, wspominając ojcowskie uwagi o kosztach amunicji zużywanej na tych „treningach”.

Usłyszał wystrzały dobiegające z tyłu farmy.

Przymknął lewe oko. Zobaczył człowieka wybiegającego z krzaków, rosnących naprzeciwko frontowej ściany budynku.

- Zasuwa na nas jakiś drań - powiedziała spokojnie Mary Mulliner.

- Widzę go - szepnął drżącym głosem. Nacisnął spust i poczuł jednoczesne uderzenie w ramię i w szczękę.

ROZDZIAŁ XXII

Miała pod ręką trzy pełne magazynki. Wystrzeliła z jednego dziesięć pocisków, pamiętając o oszczędzaniu amunicji. Przypuszczała, że Michael nie zużył do tej pory więcej niż trzydzieści naboji.

Podniosła odnaleziony winchester, który wydał się jej bardzo nieporęczny. Przypomniała sobie, w jaki sposób posługiwał się nim stary Tim. Odciągnęła dźwignię. Była już najwyższa pora na otwarcie ognia, gdyż napastnicy uderzyli tym razem większą gromadą. Strzelała bez przerwy, nie zważając na piekące oczy i ból ramienia. Jeden z bandytów upadł na ziemię.

- Pani Rourke, bardzo boję się - płakała mała Millie.

- Ja także - powiedziała naciskając spust.

- Mamusiu, chodź do mnie, mamusiu - usłyszała płacz Annie.

Pomyślała z rozpaczą, że teraz, kiedy Michael staje się mężczyzną, a mała Annie przechodzi chrzest bojowy, oboje będą musieli zginąć. Zagryzła wargi i strzelała. Każdy pocisk z winchestera powstrzymywał napastników, ale ta staroświecka broń wymagała nieustannego i męczącego manipulowania dźwignią. Uklękła na zimnej podłodze kuchni i sięgnęła po strzelbę typu Colt. Zajęła poprzednią pozycję i ogniem z colta razila nacierających złoczyńców. Każdy strzał - o jednego bandytę mniej. Ale wataha zbirów zbliżała się coraz bardziej.

- Mamo! - wrzasnął przeraźliwie Michael.

- Palą się firanki - szlochała Annie.

Widząc córkę opuszczającą swój „schron”, poczuła, jak serce podchodzi jej do gardła. W jadalni szalał już ogień.

- Idź stąd, Michael.

Chłopiec stał wśród płomieni i strzelał przez okno. Mary Mulliner klęczała przy nim na podłodze. Jeden z zabitych leżał na parapecie rozbitego okna. Palilo się jego ubranie. Sarah ujrzała Annie i Millie wybiegające z kuchni. Annie dźwigała „czterdziestkę piątkę”.

- Ratuj, mamusiu!

W drzwiach kuchni ukazał się potężnie zbudowany mężczyzna w niebieskich spodniach i czarnej skórzanej kurtce. Seria z M-16 trafiła go w klatkę piersiową, na której pojawiła się wielka, szkarłatna plama. Sarah wyjęła broń z rączek Annie. Zapasowe magazynki do „czterdziestki piątki” i M-16 znajdowały się w kuchni.

Kiedy kolejny bandyta wtargnął do jadalni, krzyknęła do dzieci, żeby padły na podłogę. Ostatni pocisk z M-16 powalił zbira, ale śrut z jego strzelby zdążył jeszcze rozbić w drobny mak lampę wiszącą pośrodku sufitu. Szkło posypało się na głowę Sarah.

- Uważaj, mamo! - wrzasnął Michael.

Odwróciła się błyskawicznie. Przez okno z płonącymi firankami wchodził następny morderca. Syn strzelił szybciej niż matka. Zwijający się z bólu bandyta próbował go jeszcze chwycić za gardło okrwawionymi rękoma. Drugi strzał chłopca zakończył jego żywot.

- Nie ma więcej amunicji, mamo.

- Zbliżcie się wszyscy do mnie - rozkazała.

Annie, Millie, Michael i Mary Mulliner stanęli przy niej.

Bandyci mogli uderzyć na nich lada chwila. Czy jest zdolna zabić swoje dzieci, Millie Jenkins i Mary Mulliner? Czy starczy jej siły, aby zabić siebie? W pistolecie było jeszcze siedem naboji. Dwa dla Michaela i Annie, jeden dla Millie i jeden dla Mary. Ostatni nabój przeznaczony był dla niej. Razem pięć sztuk. Do walki pozostawały tylko dwie kule.

Pomieszczenie wypełnił gęsty dym. Wiatr wpadał przez rozbite okna i podsycił płomienie. Bandyta o drapieżnym wyrazie twarzy wskoczył przez okno. Uniosła „czterdziestą piątkę”.

- Wynoś się stąd!

- Trochę później - warknął, próbując wycelować. Nacisnęła spust i „czterdziestka piątka” zagrziała w jej dłoniach. Twarz mordercy wyrażała przez chwilę zdziwienie, potem przewrócił się na stos połamanych krzesel. Michael podniósł nogę z połamanego stolika jak maczugę.

- Niech tylko przyjdą! - syknął.

- Oby nie! - szepnęła Sarah.

Zużyła jeden nabój. Poprowadziła dzieci w kierunku schodów wiodących na piętro budynku. Chciała, aby oddalili się od płomieni i przetrwali jeszcze jakiś czas, zanim nastąpi to, co i tak jest nieuniknione.

- Pani Rourke! - Millie Jenkins wskazywała coś ręką. Sarah spojrzała w górę na schody. Stał tam człowiek z karabinem maszynowym w dłoniach. Dwa pociągnięcia spustu. Ciało toczyło się po schodach, a seria z karabinu maszynowego uderzyła w ścianę. Mary podniosła broń zabitego zbira.

- Nie ma już amunicji - westchnęła.

Sarah wyjęła magazynek. Był pusty. Obszukała zabitego. Nie miał żadnej broni palnej ani zapasowych ładunków. Miała o jeden nabój za mało. Zacznie od Michaela, który mógłby próbować ją powstrzymać. Przytuliła go, przykładając lufę pistoletu do jego głowy.

- Kocham cię, synku - szepnęła.

- Pani Rourke!

W płonących drzwiach ujrzała młodego, rudowłosego mężczyznę.

- Jesteście już bezpieczni! - krzyknął.

To był syn Mary Mulliner.

Sarah podała Mary „czterdziestą piątkę”. „Każda kobieta jest zdolna do wielkich rzeczy, przynajmniej raz w życiu” - pomyślała. Ciemne plamy zamigotały jej przed oczyma i osunęła się na podłogę.

ROZDZIAŁ XXIII

Sarah Rourke siedziała przed płonącym ogniskiem, otulona kocem.

- Wyciągnęliśmy z domu wszystkie wasze rzeczy.

- Jak się mają dzieci, Bill?

- Znakomicie, pani Rourke. Michael i Ann śpią. Millie siedzi na kolanach mamy.

Spojrzała na spaloną i zdemolowaną farmę. Podzieliła ona los jej domu w Georgii.

- Jest mi przykro, że zniszczono wasz dom - szepnęła. Przepraszam, że zemdlałam, kiedy przyszedłeś...

- Nie ma o czym mówić. Od wybuchu wojny doświadczyłem już tak wiele, proszę pani.

- Tak, wiem. Sama widziałam tyle okropnych rzeczy. Ty i twoi towarzysze z Ruchu Oporu nadciągnęliście z pomocą w ostatniej chwili. Jak kawaleria! - powiedziała z uśmiechem.

- Proszę to obejrzyć.

Podał jej pistolet. Była to „czterdziestka piątka” podobna do broni jej męża, ale zauważyła w niej pewne różnice.

- Należała do ojca, którego tak opłakuje moja matka. Tata nie zdążył użyć jej w Nashville, podczas ostatniego wypadu na Rosjan.

Przyglądała się pistoletowi z zainteresowaniem, a Bill Mulliner kontynuował opowiadanie:

- Tata miał przyjaciela o nazwisku Trapper, który prowadził zakład rusznikarski w Michigan. Trapper skonstruował tę spluwę specjalnie dla ojca, łącząc elementy Colta Comandera i „Smith & Wesson”. Powstała lekka, wygodna broń. O, tutaj widać bezpiecznik, którym można operować zarówno lewą, jak i prawą ręką. Trapper zastosował także specjalną powłokę niklową.

- Ta broń należała do twojego ojca i nie powinieneś jej dawać nikomu.

- Niech pani zobaczy, ile mam jeszcze pistoletów. Moja matka żyje dzięki pani. To jest „czterdziestka piątka” i stosuje się do niej tę samą amunicję. Poza tym, można z niej zrobić w każdej chwili sześciostrzałowiec. Proszę, niech pani sprawdzi wszystko.

Oglądała pistolet w blasku ognia. Na lufie wygrawerowano napis „Trapper Gun” oraz sylwetkę skorpiona; identyczny napis i skorpion znajdował się na kolbie.

- Dziękuję ci, Bill.

- Podziękuj pani tej spluwie. Może podziękuj jej pani za życie...

- Nie powinniśmy tu dłużej zostawać? - zapytała, chowając pistolet pod kocem.

- Nie, proszę pani. Niedaleko stąd znajduje się duży obóz dla uchodźców. Zabiorę też matkę.

Przysunęła się nagle do chłopca i pocałowała go w policzek.

- Pani Rourke... - powiedział zaskoczony.

Powróciła na swoje miejsce na kłodzie drzewa i chłonęła przyjemne ciepło ogniska. Przymknęła oczy, ale nie wypuszczała podarowanego pistoletu z dłoni.

ROZDZIAŁ XXIV

Pułkownik Roźdiestwieński wziął jeden z karabinów, znajdujących się w specjalnych skrzynkach ułożonych wzdłuż ściany. Bardzo podobał mu się M-16, chociaż zawsze wybrałby rodzimego kałasznikowa.

- Amerykanie przygotowali dobrą broń w związku z nadchodzącą konfrontacją - powiedział, odwracając się od młodszego stopniem oficera, kapitana Rewnika.

- Zobaczcie, tak wygląda każda sztuka, żadnych braków. Broń z brakami została odrzucona, a uszkodzone elementy wymieniono.

- Zgadza się, towarzyszu pułkowniku - potwierdził entuzjastycznie Rewnik.

Roźdiestwieński nie lubił gorliwie potakujących podwładnych.

- I to samo z pistoletami, towarzyszu pułkowniku?

- Tak, ale interesują nas tylko „czterdziestki piątki”. Do Smith & Wesson stosuje się nietypową amunicję. Każdy standardowy pistolet ma dla nas ogromną wartość. Oficerowie muszą być wyposażeni w indywidualną broń.

Wpakował colta pod swój długi, wojskowy płaszcz.

- Trzeba wszystko dobierać bardzo starannie, a przede wszystkim broń osobistą. Do pięciu tysięcy M-16 będziemy potrzebować pięć milionów amunicji kalibru 5,56 mm, załadowanej do ośmiuset zaplombowanych, stalowych pojemników. Przedstawiłem już taki projekt w związku z planem „Łono”. Milion sztuk amunicji zostanie z kolei umieszczone w większych, okrągłych pojemnikach, wewnątrz których znajdują się te mniejsze opakowania.

- Tak jest!

Roźdiestwieński pokiwał głową. Obserwował teraz ludzi transportujących urządzenia elektryczne: przenośne generatory i lampy łukowe. Żołnierze nosili skrzynie z wielkich ciężarówek na mniejsze samochody, jadące w stronę pobliskiego lotniska, gdzie czekały samoloty transportowe.

- Dobra robota - mruknął pułkownik, oparty o poręcz pomostu.

Czuł, że rozpiera go duma i chęć działania.

- Musimy się spieszyć. Jeśli nie przygotujemy wszystkiego do naszej akcji w bardzo krótkim czasie, wszystko pójdzie na marne.

- Towarzyszu pułkowniku...

- Słucham was, kapitanie.

- Czy mogę was zapytać, po co to wszystko robimy? Uśmiechnięta twarz Roźdiestwieńskiego spoważniała.

- Aby przetrwała nasza rasa, towarzyszu - szepnął. - Aby przetrwała rasa sprawiedliwych - dodał

i pogrążył się w rozmyślaniach.

ROZDZIAŁ XXV

Rourke, Paul i Natalia siedzieli w mesie wraz z częścią załogi, która nie pełniła służby. Wszyscy wpatrywali się w ekran. Oglądali San Francisco - miasto tętniące do niedawna życiem, obecnie całkowicie zburzone i zamienione w podwodny grobowiec. W San Francisco urodził się i mieszkał jeden z marynarzy. Tam zginęła jego matka, ojciec, dwie siostry, żona i syn. Patrzył i łkał bezustannie. Nikt z obecnych nie próbował go pocieszać. Rourke, podobnie jak inni, nie miał pojęcia, co zrobić w tej sytuacji.

Natalia ubrana w szlafrok pożyczony od kapitana, wstała powoli, podtrzymując ręką brzuch w miejscu, gdzie były szwy. John podniósł się również, ale powstrzymała go ruchem głowy. Opierając się o długi, lśniący blat stołu, dotarła do płaczącego mężczyzny.

- Tak mi przykro. Wiem o twojej rodzinie i wiem, co czujesz - wyszeptała.

Wszyscy mężczyźni patrzyli na nią. Młody marynarz podniósł głowę.

- Dlaczego ty i twoi rodacy zabijacie nas? Trzeba wam w tym przeszkodzić!

- Nie wiem, dlaczego to wszystko się stało - powiedziała. Wstydziła się, że jest Rosjanką. Spojrzał jej prosto w oczy. Delikatnie położyła dłonie na jego ramionach. Marynarz zwiesił głowę. Przytuliła go, a on łkał nadal.

ROZDZIAŁ XXVI

Rourke stał na pokładzie wpatrzony w wirujące, wielkie płatki śniegu. „Temperatura nie spadła jeszcze poniżej zera” - pomyślał. Śnieżynki topiły się na jego dłoni i na mankietach brązowej lotniczej kurtki; jeden z większych płatków wpadł mu do oka. Miał już mokre włosy, czoło i policzki. Natalia stała obok niego i drżała z zimna. Objął ją mocno, próbując ogrzać ciepłem swojego ciała.

Łódź podwodna sunęła kanałem wcinającym się głęboko w ląd, podobnym do fiordu. To była linia brzegowa tego, co pozostało ze środkowej Kalifornii. W wodzie zatopione były ciała zabitych i całe miasta. Nie mógł przestać o tym myśleć...

Wpłynęli w zatoczkę znajdującą się na końcu kanału. Komandor Gundersen stał obok nich, był w stałym kontakcie radiowym ze swoim mostkiem, z którego otrzymywał dane o ukształtowaniu dna „fiordu”. Cały podwodny obszar, począwszy od San Andreas, był nieznany. Nie powstały jeszcze żadne mapy od chwili zniszczenia Kalifornii.

- Mogę płynąć najwyżej osiemnaście stóp pod powierzchnią wody - burknął komandor do radiotelefonu i spojrzął na Rourke'a. - Wilkins, musimy płynąć w wynurzeniu. Maszyny stop. Podaj mi dane z echosondy. Chciałbym określić miejsce, gdzie w razie potrzeby moglibyśmy się zanurzyć. Jak będziesz gotowy, podaj współrzędne i kurs.

- Rozkaz, komandorze - zachrypiał głośnik. Gundersen schował radiotelefon do kieszeni.

- Unika pan kapitana Cole'a, doktorze.

- Komandorze, przecież nie chce pan konfliktów na pokładzie.

Rourke nie miał ochoty rozmawiać na ten temat.

- No dobra. Zejdziemy na dół i zobaczymy, co tam słychać.

Gundersen wydobyl znowu radiotelefon i położył palec na przycisku.

- Wilkins? Tu Gundersen. Przekaż kapitanowi Cole, aby zameldował się w mojej kabinie za trzy minuty.

- Przed chwilą pytał o pana, szefie.

- Powiedz mu, że chcę go widzieć.

Gundersen ruszył w dół okrętu. - Niech pan uważa. To strome zejście. Natalia postawiła ostrożnie stopę na trapie. Rubenstein przytrzymał Johna za ramię.

- Naprawdę bierzemy udział w tej akcji?

- Cole chce zdobyć głowice. Nie wiem, czy kieruje nim tylko ambicja, czy też są inne przyczyny. On się nie cofnie przed niczym. Jedyne, co możemy zrobić, to pilnować go, kiedy znajdzie się przy pociskach.

- Wiedziałem, że chcesz mieć oko na Cole'a - kiwnął głową Rubenstein.

Rourke klepnął go w plecy.

- Ruszaj na dół, ale uważaj na stopnie.

ROZDZIAŁ XXVII

Zrobiło się znowu zimno, jakby nadchodząca wiosna miała zamiar czym prędzej się wycofać. Sarah marzyła, aby ten zdruzgotany kraj ogrzały ciepłe promienie słoneczne. Doszli do obozu uchodźców. „Niedaleko” Billa Mullinera okazało się ośmiodniową wędrówką, podczas której siły sowieckie zajmowały kolejne przemysłowe miasta, a na „prowincji” grasowały niebezpieczne bandy. Osiem dni koczowania w lasach i nocowania w jaskiniach. Osiem dni w deszczu i chłodzie.

Zadrżała z zimna i naciągnęła na uszy wełnianą opaskę. Próbowwała wymachiwać rękami i podskakiwać dla rozgrzewki, ale niewiele to pomagało.

- Powinniśmy tutaj porządnie odpocząć - usłyszała ochryply głos dowódcy oddziału partyzantów. „Ma taki nieprzyjemny głos, ale to uczciwy człowiek” - pomyślała.

Pete Critchfield był kiedyś podwładnym ojca Billa Mullinera, a teraz po jego śmierci dowodził oddziałem Ruchu Oporu. Od razu dostrzegła, że Pete nadaje się na szefa. Critchfield przyglądał się przez chwilę Annie i Millie jeżdżącym na mule oraz Michaelowi, kręcącemu się obok nich.

- No, starczy tej zabawy. - Klasnęła w ręce Sarah. - Zobaczcie, co się dzieje.

Znajdowali się na skalistym pagórku u wylotu doliny, którą wypełniła już gęsta mgła. Spokojny muł parsknął, kiedy kobieta ściągała Annie i Millie. Michael trzymał uzdę.

- No, dzieciaki, tylko teraz trzymać się starszych. Zaraz znajdziemy jakieś schronienie - wołał Bill Mulliner.

Michael wziął obie dziewczynki za ręce. Sarah przeniosła swój plecak pod skałę i zdjęła z ramienia M-16.

- Pani Rourke, znajdzie się tu miejsce także dla pani - rzucił Pete Critchfield, przechodząc obok niej.

- Jest mi dobrze tu, gdzie siedzę, panie Critchfield - krzyknęła za nim, nie będąc pewna, czy ją usłyszał. Czowała ziąb wilgotnej skały, przenikający przez dzinsową bluzę i bieliznę.

- Proszę, to dla pani - Bill Mulliner podał koc. - Proszę na tym usiąść.

Podziękowała mu uśmiechem i ulokowała się na kocu, który choć trochę wilgotny, nie był tak zimny jak skała.

- Ta pogoda jest zwariowana - rozpoczęła rozmowę. Bill zajął miejsce przy niej, zaproszony gestem na wolny kawałek koca.

- Czy zauważyła pani, jakie czerwone są teraz zachody słońca? I te błyskawice na niebie. Boję się ich - westchnął, zapalając fajkę.

Wyglądał trochę śmiesznie z fajką, jak młody dorosły.

- Może to już koniec świata? - odezwał się po chwili.

- Często pisano w książkach i gazetach, pokazywano w telewizji, że wojna atomowa to straszna rzecz, po której nie będzie już ludzkości. Ale przecież nie wszyscy zginęli...

- Trochę nas zostało - odparła ściszym głosem.

Poprawiła pasek pistoletu, „odziedziczonego” po jednym z bandytów zabitych na farmie. „Czterdziestka piątka” jej męża spoczywała w kaburze. Przy pasie miała kilka schowków na magazynki, w tym sześć dodatkowych do „czterdziestki piątki”. Najlepsza broń - Trapper Scorpion 45, spoczywała w kaburze wykonanej specjalnie dla ojca Billa Mullinera. Miała ją pod ręką nawet, kiedy spała. Położyła kabury z pistoletami na ziemi. Była zmęczona.

- Wszystko się ułoży, kiedy już znajdzie się pani z dziećmi w obozie. Inni uchodźcy wam pomogą. Przebywa tam wielu chorych ludzi, a także ci, którzy stracili całe rodziny i mienie. Ale jest tam prawie wszystko. Nawet pomoc duchowa. Kaznodzieja przyjmuje w środy wieczorem i w niedzielne poranki, ale większość czasu poświęca chorym. To dobry człowiek, metodysta. Nie przeszkadza mi to, chociaż jestem baptystą.

- Przed wojną byliśmy prezbiterianami, ale nie często chodziliśmy do kościoła - powiedziała.

- Uwielbiam kościół. Należałem do duszpasterstwa młodzieży, byliśmy skautami działającymi przy kościele. Pastor był naszym drużynowym. Zdobyłem Odznakę Orła.

- Twoi rodzice musieli być bardzo z ciebie dumni. Wiem, że matka podziwia cię nadal.

- Lubilem tamte dni, choć nie wierzę, że znowu powrócą.

- Czy miałeś dziewczynę? - zapytała go zniecierpliwiona. Widząc zakłopotanie na jego twarzy, pożałowała, że zadała to pytanie.

- Tak, proszę pani - odpowiedział po chwili, starając się, aby głos brzmiał stanowczo. - Tak, miałem dziewczynę o włosach pięknych i długich jak pani.

- A gdzie ona jest teraz, Bill? - spytała.

Chłopak oblizał wargi, spuścił wzrok i stukając fajką o obcas buta, odpowiedział:

- Zginęła. Została w mieście i dopadli ją bandyci. Odnalazłem jej ciało. Oni ją... - Głos mu się łamał.

- Oni ją zgwałcili. Wszystko, całe jej ciało: ręce, nogi, brzuch i twarz zostały zmasakrowane. Przypuszczam, że już nie żyła, kiedy byli w połowie tej orgii. Miała na imię Mary, tak jak moja matka.

Zaczął płakać. Sarah przytuliła go mocniej do siebie. Nie była w stanie nic powiedzieć.

ROZDZIAŁ XXVIII

- Doktor Rourke pójdzie ze mną, a Rubenstein zostanie tutaj. I niech Rourke nie zabiera ze sobą żadnej broni - oświadczył kategorycznie Cole.

Gundersen splótł palce obu dłoni.

- Chciałem uprzedzić pana, kapitanie Cole, że omówiłem wszystko z doktorem. On musi mieć broń. Przecież pan chce go posłać na pewną śmierć!

- Sprzeciwiam się temu, sir!

- Nie biorę tego pod uwagę. - Gundersen zachował spokój. - A jeśli chodzi o pana Rubensteina, to niech towarzyszy przyjacielowi, jeśli ma na to ochotę. Uważam również, że porucznik O'Neal, dowodzący wyrzutniami pocisków, nie ma na okręcie niczego do roboty po ich odpaleniu. On wraz z paroma moimi ludźmi powinien znaleźć się w grupie desantowej. Porucznik O'Neal będzie odpowiedzialny za bezpieczeństwo Rubensteina. W sprawie major Tiemerowej nie chciałbym podejmować decyzji. Nie jest jeszcze tak silna, aby wziąć udział w wyprawie. Ona nie potrzebuje żadnej broni. Czy są jeszcze jakieś pytania, kapitanie?

- Protestuję w dalszym ciągu, sir. Po pierwsze, znajdziemy się już na lądzie, gdzie ja odpowiadam za całą misję.

- Ale doszła ona do skutku tylko dzięki mojej łodzi podwodnej, a na jej pokładzie znajdują się głowice pocisków, stanowiące niebezpieczeństwo dla mojej załogi. Dlatego moi ludzie będą brali udział w wykonaniu tego zadania.

- Chcę wysłać mały patrol rozpoznawczy, zanim wyruszy cała grupa.

- Wyrażam na to zgodę. Proszę wziąć kilku moich ludzi...

- Nie, sir. Zadanie wykonają moi podwładni. Są odpowiednio przeszkoleni.

- Czy mogę o coś zapytać? - odezwał się Rourke.

- Oczywiście, doktorze - skinął głową Gundersen. Natalia, Paul, a nawet Cole spojrzeli na Johna.

- Wysłanie patrolu rozpoznawczego może okazać się błędem. Rozpoznania powinna dokonać grupa biorąca udział w zadaniu. Musimy wyruszyć bez względu na to, co nas czeka i dotrzeć do bazy sił lotniczych w Filmore. Ewentualne wykrycie patrolu rozpoznawczego przez nieprzyjaciela upewni go tylko o naszych działaniach w głębi lądu. Trzeba przedostać się jak najdalej pod osłoną mroku.

- To jest do dupy - machnął ręką Cole.

- Zwracam panu uwagę, że wśród nas znajduje się kobieta - zagrzemiał Gundersen. - Ja zgadzam się z doktorem.

- Przeprowadzenie misji na lądzie należy do mnie i wyślę zwiadowców natychmiast - ripostował Cole.

Rourke wzruszył ramionami. Rubenstein zdjął okulary i zaczął je przecierać.

- John ma rację - powiedział Paul. - Wysłanie teraz kogokolwiek może pociągnąć za sobą tragiczne następstwa. Niewykluczone, że po tym zastawią na nas pułapkę.

- Jeśli odprawa skończona, komandorze, to chciałbym ostateczną decyzję przekazać moim ludziom.

Rourke zapalił cygaro, wpatrując się badawczo w twarz Cole'a.

- Pan chce osobiście poprowadzić ten patrol?

- Zrobi to kapral Henderson.

- Ach tak. To nie będę się szczególnie martwił, jeśli on nie powróci z tej wyprawy.

Henderson postrzelił Natalię i John go nie cierpiał. Cole spojrzał złowrogo i odpowiedział wolno:

- Kiedy już dotrzemy do pułkownika Teala i dostaniemy te głowice, mam nadzieję, że znajdzie pan trochę czasu na tak zwaną męską rozmowę ze mną.

Rourke podniósł wzrok.

- Wyzwanie na pojedynek? Zastanowię się nad tym. - I wypuścił kłęb gęstego dymu.

ROZDZIAŁ XXIX

Widziała twarze, setki patrzących na nią twarzy. Trzymała za rękę Michaela, który był wyraźnie przestraszony. Zacisnęła palce na rękojeści M-16. Była przerażona - od ataku atomowego nigdy nie widziała tyłu twarzy naraz. Trudno powiedzieć, ile ich dotąd było; oddziały bandytów, gorsze od hord dzikich zwierząt, oddziały Rosjan. Wspominała spotkanie z pewnym sowieckim majorem podczas akcji Ruchu Oporu w Savannah. Darował jej życie. W jego oczach odnalazła coś, co przypominało jej męża. Zastanawiała się, co Rosjanin widział w jej oczach.

Powróciła do rzeczywistości.

- Co ci jest, mamó? - Michael przyglądał się jej badawczo.

- To nic. Jak zobaczyłam nagle tyłu ludzi...

Obok niej stał Pete Critchfield i Bill Mulliner, który trzymał za obrożę swego psa myśliwskiego. Dzieci tak bardzo lubiły zabawy z psem, kiedy jeszcze przebywali na farmie. Bill dotknął ramienia Sarah.

- Ten facet na werandzie, to główny dowódca, David Balfry.

- Główny dowódca?

- Tak. Przed wojną profesor uniwersytetu, a teraz szef Ruchu Oporu w Tennessee.

Przyjrzała mu się jeszcze raz, chowając się za szerokimi ramionami Pete Critchfielda.

- David Balfry - powtórzyła.

„Ten wysoki, sprężysty mężczyzna jest najwyżej jej rówieśnikiem” - pomyślała. Miał krótkie, jasne włosy i uśmiechał się na powitanie.

- Pani Rourke - zwrócił się do niej Pete Critchfield.

- Słucham, panie Critchfield.

- Niech pani podejdzie z synem i przywita się z Davidem.

Ruszyła naprzód, zbliżając się do tłumu bacznie się jej przyglądających ludzi. „Tak oglądają każdego nowo przybyłego” - myślała. Było tu wielu rannych. Widziała szepczące wargi, dziko płonące oczy i wyciągnięte do niej ręce. Stała przy schodach prowadzących na werandę domu.

- Pani Rourke, słyszałem o pani działalności w Ruchu Oporu w Savannah. To zaszczyt dla mnie poznać panią.

David Balfry wyciągnął rękę na powitanie. Miał dłonie szczupłe i długie, jakby należały do pianisty albo skrzypka. Uścisnął jej rękę. Oczy spoglądały życzliwie.

- To wielka przyjemność poznać pana osobiście, panie Balfry.

- Kiedyś zwracano się do mnie „panie profesorze Balfry”. Teraz jestem dla wszystkich Davidem. A pani ma na imię Sarah, prawda?

- Tak - odparła, zastanawiając się szybko, o co mógłby jeszcze ją zapytać.
- Czy mogę mówić pani po imieniu? Skinęła głową.
- Słyszałem, że twój mąż był lekarzem...
- On nadal jest lekarzem - wtrąciła.
- Czy pracowałaś kiedykolwiek jako pielęgniarka?
- Na stałe raczej nie. Ale znam się na tym.
- Nasz wilebny duchowny zajmujący się chorymi, miałby znaczną pomoc, jeśli zostałabyś tutaj.
- Zostanę i będę pomagać.

Balfry potrząsnął jej ręką jeszcze raz i pogładził Michaela po głowie. Poczwała, jak chłopiec ciągnie ją za rękę i zmusza do odejścia. David Balfry uśmiechnął się do niego.

- Poznamy się jeszcze, synu - powiedział i odwrócił się do Pete Critchfielda.

Sarah stała zakłopotana. Balfry spojrzał na nią i wówczas spostrzegła, że naczelnny dowódca uśmiecha się do niej.

ROZDZIAŁ XXX

Patrol nie wrócił jeszcze z rozpoznania. Rourke, Cole, Gundersen, porucznik O'Neal i Paul Rubenstein stali na pokładzie łodzi podwodnej wpatrzni w ciemny brzeg. Gęste, bure chmury nie przepuszczały światła księżyca. Śnieg padał ciągle, ale nie było zimno. Rourke spojrział na fosforyzującą tarczę swojego Rolexa. Przysłonił ręką zegarek, cyferki stały się bardziej wyraźne.

- Wyruszyli osiem godzin temu i powinni już być z powrotem. Gdyby to byli moi ludzie, kapitanie Cole, coś bym zrobił, aby ich odnaleźć.

- Myślę...

- Hm, myślę i myślę... - przedrzeźniał go John. Poprawił kołnierz lotniczej kurtki. Gdy dotknął kabury swoich pistoletów, poczuł się pewniej. Jak na jednego człowieka dysponował sporą siłą ognia.

- Jestem gotów, John - zameldował Paul z uśmiechem.

- Komandorze - odezwał się porucznik O'Neal. Mogę wyruszyć ze swoją grupą choćby natychmiast...

- Przyhamuj pan trochę - przerwał mu Rourke. - Oficerowie marynarki nie powinni być w gorącej wodzie kąpani.

O'Neal zaczerwienił się jak burak.

- Czekam na propozycje, sir - powiedział spokojnie.

- Mam lepszy pomysł, oczywiście, jeśli go zaakceptuje komandor Gundersen - rozpoczął. - Cole, Paul i ja wraz z trzema zwiadowcami dotrzemy do brzegu gumową łodzią i pójdziemy w stronę wzniesienia. Jeśli patrol Hendersona wpadł w zasadzkę, to nastąpiło to prawdopodobnie niedaleko brzegu. Gdyby jednak wrócili cało, a nas by nie było z powrotem do świtu, przygotujcie żołnierzy do kolejnego wymarszu i wsparcia nas ogniem na wypadek naszego odwrotu z nieprzyjacielem na karku.

- Ten plan zapowiada się nieźle - mruknął Gundersen. - Co pan o tym sądzi, kapitanie Cole? - Gundersen uniósł brwi, z góry spodziewając się sprzeciwu.

- Myślę, że nie mamy wyboru - odparł Cole.

- Zejdę po resztę wyposażenia. - Rubenstein zniknął w głębi okrętu podwodnego.

- Jeśli pan nie ma nic przeciwko temu, zajmę się przygotowaniem łodzi desantowej - O'Neal zwrócił się do komandora.

- Niech pan działa.

Rourke lustrował linię brzegu widoczną jeszcze na tle ciemniejszej powierzchni wody. Ponad masywem skalnym jaśniała przestrzeń nieba. Kadłub łodzi podwodnej spoczywał bez ruchu na spokojnej tafli zatoki. Jeśli na lądzie znajdowali się wrogowie, to niemożliwe, aby mogli wypatrzeć

ich ze szczytów skał.

ROZDZIAŁ XXXI

Niewielkie fale uderzały rytmicznie o ponton. Rourke przykucnął na dziobie ze swym CAR-15 gotowym do strzału. Rubenstein znajdował się za jego plecami, a Cole wraz z trzema zwiadowcami zajmował resztę miejsca. Dwóch żołnierzy wiosłowało. Zastanawiał się, czy istnieje szósty zmysł, tak potrzebny w sytuacjach podobnych do tej. Był maksymalnie skoncentrowany i czujny.

- Przeczuwam coś - mruknął Rubenstein.

John uśmiechnął się w milczeniu. Oprócz skórzanej kurtki miał na sobie granatowy sweter z golfem z magazynu łodzi podwodnej, ale mimo to drżał bez przerwy z zimna. Przed nimi zarysowała się wyraźnie linia brzegu. Rozpoczął się przyływ i woda docierała już prawie do skał.

- Wyciągnijcie wiosła - zakomenderował Rourke, zdejmując skórzane rękawiczki. Zanurzył dłonie w wodzie z obu stron dziobu.

- Wiosłujcie rękoma - rozkazał.

Jego palce zdrętwiały w zimnej wodzie, ale nie było wyboru. Upłynęło kilka minut, zanim pokonując opór fal przyływu dotarli wreszcie w pobliże lądu. Wskoczył do wody, czując jak przedostaje się ona do jego wojskowych butów. Rubenstein zrobił to samo. Przybrzeżne fale rozbijały się o dziób, tworząc lodowaty prysznic. John chwycił ponton i zaczął ciągnąć go w stronę brzegu. Śnieg padał bez przerwy.

- Ruszcie się, panowie! - krzyknął do Cole'a i jego ludzi. - Wyskakujcie i pomóżcie nam. No, jazda!

Cole i jego trzech żołnierze wskoczyli do wody. Kapitan zaklął głośno, kiedy fala zalała go prawie po szyję.

- Cicho, do cholery! - syknął Rourke. Wreszcie wyciągnęli ponton na plażę.

- Ukryjcie go pośród tych skał - Rourke zwrócił się do trzech żołnierzy - i zabezpieczcie przed przyływem.

Zdjął z ramienia broń, ściągnął gumowy ochraniacz z wylotu lufy i włożył go do torby, w której nosił parę zapasowych magazynków i przybory do konserwacji pistoletu. Ruszył plażą, czując wzrastające niebezpieczeństwo.

- Zabić ich! - Okrzyk był tak przeraźliwy, jak gdyby nie wydała go istota ludzka. Skierował CAR-15 w stronę, skąd krzyczano. Zapalił latarkę.

Maczeta wypadła z ręki oślepionego napastnika.

- Nie strzelać, dopóki nie będzie to konieczne! - krzyknął, przesuwając dźwignię bezpiecznika. Ruszył w stronę tajemniczej istoty. Zauważył, że nieznamy jest uzbrojony w rewolwer. Nagle usłyszał wiele innych głosów, docierających ze wszystkich stron, pomimo szumu fal i wycia wiatru.

Dopał uzbrojonego przeciwnika i chwycił go za przegub ręki. Rewolwer upadł na ziemię. Chcąc kopnąć nieprzyjaciela, wyrzucił nogę w górę, ale nie dosięgnęła ona jego szczęki, gdyż ów przekoziółkował po piasku i w sekundę potem stał znów gotowy do walki. Trzymał w dłoni nóż, mniejszy od maczety, ale także długi i niebezpieczny. Rourke wyciągnął z kieszeni spodni swoje małe, sprężynowe cacko. Błysnęło ostrze. Przesunął się nieco w bok - postać podążyła za nim w ciemności. Uderzył nożem w miejsce, gdzie powinna znajdować się nerka wroga. Wyszarpnął ostrze i zadał jeszcze jedno pchnięcie. W tej samej chwili poczuł bolesne ukłucie w rękę i upuścił nóż na ziemię. Odwrócił się, czując i słysząc nadciągające nowe niebezpieczeństwo. Nadbiegło dwóch napastników, zarośniętych i na pół okrytych zwierzęcymi skórami. Mieli długie włosy. Pierwszy z nich dzierżył włócznię, drugi miał pistolet.

Rourke sięgnął po Detonics'a. Rozległ się huk wystrzału i kula trafiła w brzuch człowieka z pistoletem. Ten wyrzucił ramiona w górę i runął ciężko na piasek. Drugi zaciekle ciął powietrze włócznią. John cofnął się i schylił. Ostrze świsnęło nad jego głową. Zerwał się błyskawicznie i kopnął dzikusa w kolano, a ten zwałił się z nóg. Z jego gardła wydobywał się ochryply głos: „Zabić ich wszystkich! Zabić niewiernych!”

„Jakich niewiernych?” - pomyślał Rourke. Dzikus zaatakował znowu. John zadał cios nogą odzianą w solidny, wojskowy but. Poczul ból kolana w chwili, gdy przodem buta trafił w policzek przeciwnika. Obejrzał się za siebie. Nadciągało dwóch dzikusów. Jeden z nich zaatakował maczetą. Strzelił do drugiego napastnika, uzbrojonego w pistolet. Maczetą przecięła powietrze tuż przed jego nosem. Zrobił jeszcze jeden unik, obrócił się i dwukrotnie trafił butem w twarz wroga, który nie wstał już więcej z ziemi. Ruszył pędem w stronę, gdzie Rubenstein toczył walkę na śmierć i życie z olbrzymim przeciwnikiem. Dryblas miażdżył w uścisku przegub dłoni Rubensteina, który nie chciał wypuścić pistoletu. Nagle Paul przycisnął go do siebie i kopnął w kolano. Błysnął w ciemności wystrzał i pocisk utkwiał w sercu draba, a jego ogromne ciało znieruchomiło na piasku. Rubenstein odwrócił się, stając twarzą w twarz z następnym człowiekiem okrytym skórą. Obok niego był już Rourke. Dziki człowiek nie posiadał żadnej broni. Chciał posłużyć się pięścią, ale Rubenstein sparował cios przedramieniem i podjął błyskawiczny kontratak, według najlepszych wzorów bokerskich. Pierwszy cios nie dosięgnął celu, ale drugi trafił przeciwnika prosto w szczękę. Facet upadł. Rubenstein kopnął go ponownie w szczękę. Z ust pokonanego wydobył się bolesny jęk.

„Gotowy” - pomyślał Rourke i rzekł głośno:

- Idziemy, Paul.

Rourke ruszył w stronę Cole'a i jego ludzi. Odbezpieczył CAR-15 i wydobył lornetkę z futerału. Jeden z ludzi nacierających na grupę Cole'a zobaczył doktora i ruszył pędem do niego. Rozgrzany zaaplikował mu uderzenie w krocze. Dzikus zawył z bólu, ale nie rezygnował z kolejnego ataku. Tym razem doktor „załatwił” go okutą metalem kolbą pistoletu, która wylądowała dwukrotnie na szczęce napastnika. Zaatakował go kolejny desperat, jednak jego maczetę powstrzymało silne uderzenie lufy w grdykę i napastnik nie podniósł się już więcej. Doktor szedł dalej. Znowu facet z włócznią. Kolba pistoletu zatoczyła łuk i trafiła w kość lewego policzka, miażdżąc ją całkowicie. Walkę zakończył Rubenstein, uderzając go lufą Schmeissera w skroń.

Stanęli teraz oko w oko z dwoma dzikusami, z których pierwszy posiadał dubeltówkę, a drugi wymachiwał jakąś niezidentyfikowaną strzelbą. Rourke dobył i odbezpieczył Detonics'a. Miał w nim jeszcze cztery pociski. MP-40 Rubensteina był gotowy do strzału. Zanim dzicy zdolali wymierzyć, Rourke zabił tego z dubeltówką, a Rubenstein trafił w serce posiadacza dziwacznej strzelby.

Zobaczył Cole'a walczącego z człowiekiem o jasnych, długich włosach i postrzępionej brodzie. Obaj bili się gołymi rękami. Rourke sięgnął do torby po nowy magazynek do Detonics'a. Zarepetował broń. Cole zdołał wyszarpnąć „czterdziestkę piątkę” z kabury, ale silna ręka przeciwnika zacisnęła się natychmiast na przegubie dłoni z pistoletem, który wypalił w górę. Cole upadł na plecy, próbując strzelić w chwili, gdy długowłose blondyn spadał już na niego, ale detonacja nie nastąpiła. Rourke nacisnął spust pistoletu. Cześć głowy dzikusa została rozerwana, a jego ciało drgało w agonii na piasku. Oszołomiony Cole spojrzał na doktora, a potem na swój pistolet Rourke zbliżył się do niego i bez słowa wyjął broń z jego ręki. Nabój utkwił w połowie drogi do komory zamkowej.

- No tak - wyszeptał Rourke.

Wyciągnął magazynek i stwierdził, że połowa jego zawartości nie jest właściwie ułożona. Wysypał naboje na dłoń. Podał Cole'owi pistolet, magazynek i naboje. Odwrócił się i odszedł, mruknąwszy jeszcze do siebie:

- Pieprzony oficerek z gównianą bronią.

ROZDZIAŁ XXXII

Sarah leżała z zamkniętymi oczami. Słyszała równy oddech Michaela i niezbyt głośne sapanie Annie. Millie także spała cichutko. Znajdowała się sama w niewielkim namiocie. Próbowwała zasnąć, ale po głowie chodziły jej rozmaite myśli. W dalszym ciągu nie wiedziała, co dzieje się z jej mężem. Rozmawiała na ten temat z Davidem Balfry, który przyrzekł jej pomoc w zdobyciu wieści o Johnie. Być może skontaktował się już z siłami Ruchu Oporu. O miejscu jego pobytu mogłaby również wiedzieć agencja U.S.II.

- David Balfry - szepnęła do siebie. Przystojny mężczyzna. Przypomniła sobie, że tak znacząco uśmiechał się do niej. Przewróciła się na swym niezbyt wygodnym posłaniu z koców, rozłożonych na twardej, wilgotnej ziemi. Od chwili rozpoczęcia wojny spała już w o wiele gorszych warunkach. Pomyślała teraz o pozostałych uchodźcach. Jutro rano powinien wrócić wielebny metodysta i trzeba będzie mu pomóc doglądać chorych i rannych. Nie chciała pozostawać w obozie bez końca. Należało szukać Johna.

Przewróciła się znowu na posłaniu. Próbowwała odtworzyć w pamięci postać męża. Jego oczy patrzące przenikliwie, jego wysokie czoło, gęste, ciemne włosy, lekko siwiejący zarost na piersiach. Pamiętała dotyk jego twardych mięśni, kiedy brał ją w ramiona. Otworzyła oczy. We wnętrzu namiotu panował półmrok. „John - potrzebuję cię teraz”. Zakryła rękami twarz wilgotną od łez.

ROZDZIAŁ XXXIII

Rourke pojął teraz, dlaczego nikt nie nadbiegł, gdy padły strzały. Zawrocie i wrzaski zagłuszyły wszystko. Krzyczeli mężczyźni i kobiety, odziani częściowo we współczesne ubrania, częściowo w skóry zwierzęce i jakieś strzępy szmat. Okrzyki trwogi i bólu wydawali żołnierze patrolu rozpoznawczego, wysłanego uprzednio przez Cole'a. Wisieli oni na krzyżach wykonanych ze ściętych drzew. U stóp krzyży przygotowano stosy suchych gałęzi i Rourke zobaczył, że jakiś człowiek zapalał pochodnię.

- Dobry Boże! - Rubenstein oddychał nerwowo.

- Gorzej być nie mogło - przyznał spokojnie Rourke.

- Co zrobimy? - Cole przysunął się do nich.

- Pan to powinien wiedzieć - odparł John, nie zwracając uwagi na kapitana, lecz bacznie śledząc ruchy człowieka trzymającego pochodnię.

- Straciliśmy jednego człowieka na plaży - dodał. - Jego ciało transportuje z powrotem dwóch żołnierzy przy pomocy dwóch jeńców. Nawet jeśli porucznik O'Neal i jego grupa płyną już tutaj do nas, to i tak minie około dziesięciu minut, zanim dotrą do plaży. Następne piętnaście minut zajmie im wspinaczka na górę, do miejsca, w którym się znajdujemy. Możemy więc liczyć wyłącznie na siebie, panowie.

- Trzech ludzi przeciwko całej hordzie - warknął Cole. - Chyba pan oszalał! Jest tam ich około setki, wszyscy uzbrojeni w broń palną i noże.

Rourke spojrział w twarz Cole'a.

- Sądzę, że trzech wystarczy. Wyruszę tylko z Paulem, a pan niech nas ubezpiecza, Cole. Niech pan ma oczy otwarte i wykorzysta maksymalnie swe znakomite doświadczenie bojowe...

Zaczął skradać się wśród skał, widząc jednak, że Cole podąża za nim, Paul Rubenstein szepnął przyjacielowi do ucha:

- Myślał, że trafił na doktora, co tylko chodzi w kitlu, a teraz widzi, kto jest lepiej zaprawiony w takich walkach.

Dotarli w końcu do trawiastej równiny rozpościerającej się u podnóża skał. Ukryci w mroku ujrzeli, że człowiek z pochodnią stoi naprzeciwko jednego z krzyży.

Widzisz? - zapytał szeptem Rourke.

ROZDZIAŁ XXXIV

Rourke zakrył usta strażnika i zadał cios nożem. Strażnik bez jęku osunął się na ziemię. Powtórzył pchnięcie. Dzikus z pochodnią stał nadal pod krzyżem, na którym wisiał dowódca patrolu - kapral Henderson. Rourke wzdrygnął się na myśl, jaka męka czeka kaprala za chwilę. Spojrzał na zegarek. Minęło pięć minut, a więc Paul powinien już zająć pozycję z drugiej strony kręgu krzyża. Na Cole'a nie liczył.

Nadszedł czas. Zapalił połówkę cygara i zacisnął dłoń na rękojeści CAR-15. Miał dużo amunicji. „Wystarczy dla wszystkich” - pomyślał. Wiedział jednak, że sprawa nie będzie tak prosta. Przystanął w odległości około dwudziestu pięciu metrów od krzyża. Uniósł lufę w górę i wypalił. Zawodzenie dzikusów umilkło. Słyszeć było tylko jęki skazańców.

- Kończcie tę zabawę albo zginiecie, przyjaciele!

ROZDZIAŁ XXXV

- Zabić niewiernych! - ryknął człowiek z pochodnią. Pistolet Rourke'a plunął ogniem, a pocisk dosięgnął celu, kładąc oprawcę na ziemi. Wycie jego pobratymców zagłuszyło jęki ukrzyżowanych ludzi.

- Zabić niewiernych!

Strzelał z CAR-15. Mężczyźni i kobiety rozpierzchli się na wszystkie strony. Niektórzy pędzili wprost na doktora, inni biegli gdzieś na oślep jak spłoszone zwierzęta. Z drugiej strony kręgu krzyży słychać było pojedyncze strzały. To zaczął działać Rubenstein. Kiedy tłum gapiów rozbiegł się na lewo i prawo, ranny człowiek podczołgał się bliżej i zdołał podpalić stos Hendersona. John puścił się biegiem w stronę krzyża. Płomienie pięły się szybko w górę, ogarniając suche drewno. Ich złowrogi trzask wydawał się silniejszy od wycia dzikusów i jęków skazańców wiszących na krzyżach. Widział twarz Hendersona wykrzywioną potwornym cierpieniem. Ogień dotykał już jego ciała. Dostrzegł Johna i krzyknął rozpaczliwie:

- Ratuj mnie!

Rourke strzelił, kładąc trupem faceta nacierającego z maczetą w rękę. Kolejny strzał unieszkodliwił kobietę mierzącą z rewolweru. Dłonie człowieka o posturze niedźwiedzia wyciągnęły się w stronę doktora. Nie było już czasu na złożenie się do strzału. Prawe kolano dosięgło jednak nachylonej twarzy wroga, miażdżąc jego nos. Napastnik ryknął z bólu, zasłaniając rękami twarz skapaną we krwi.

Do krzyża pozostało dziesięć metrów. Henderson błagał o pomoc. Płomienie ogarnęły jego nagie stopy i nie można było nawet zrozumieć, co krzyczał.

Rourke założył nowy magazynek i odwrócił się w stronę trzech mężczyzn i kobiety, zdecydowanie na niego nacierających. Nacisnął spust, załatwiając najbliższego napastnika. Drugi strzał unieszkodliwił kobietę. Pozostali mężczyźni nie cofnęli się jednak. Doktor trafił jednego z nich w piersi. Ręce drugiego dosięgły go. Silne palce zaciskały się coraz mocniej na jego szyi. Przed oczami zamigotały mu ciemne plamy. Lewą ręką wymacał nóż i z całej siły, na jaką go jeszcze było stać, uderzył w bok napastnika. Wyrwał nóż z jego ciała i zadał jeszcze jeden cios. Ucisk na gardle rozluźnił się. Rourke uderzył kolanem leżącego na nim przeciwnika. Dopiero teraz uświadomił sobie ból w prawym ramieniu; rana zadana sztyletem nie była głęboka, choć krew obficie płynęła po ręce. Przygniatało go ciężkie ciało napastnika, którego palce nadal ścisnęły mu gardło. Uderzył nożem w nagie ramię dzikususa. Ucisk na gardle ponownie zelżał. Wreszcie dłonie oderwały się od szyi Rourke'a, który w tym momencie pchnął ostrzem w środek klatki piersiowej napastnika. Doktor przewrócił się na brzuch, kaszląc i z trudem łapiąc oddech. Jego prawe ramię było sparaliżowane.

Lewą ręką sięgnął po pistolet, tkwiący w kaburze pod pachą. Napastnik nie zaprzestał ataku, chociaż w jego piersi tkwił nóż, a lewe ramię ociekało krwią. Rourke nacisnął spust trzy razy. Ciało bandyty podskoczyło w takt wystrzałów, wreszcie upadło i znieruchomiało. Doktor z trudem wstał z ziemi. Kolejny desperat próbował go dostać, nacierając z grubą, ciężką pałką. Czuł jeszcze palce dusiciela na gardle, oddech zapierał również potworny fetor płonącego ciała Hendersona.

Teraz natarła kobieta z maczetą. Ostatni nabój z pistoletu zakręcił jej ciałem jak bezwolnym manekinem. Upadła.

Z trudem wyszarpnął drugiego Detonics'a. Chciał podejść do wiszącego Hendersona, ale mężczyzna z pochodnią, którego wcześniej postrzelił, jakimś cudem wstał. Zamiast ramienia miał czarny, spalony kikut. Zamachnął się pochodnią, ale pociski z Detonics'a rozłupały jego głowę jak melon.

U stóp krzyża leżała maczeta. Rourke podniósł ją i próbował rozgarnąć płomienie. Żar stanowił zaporę nie do przebycia. Cofnął się. Z ust Hendersona dobywał się jeden ciągły krzyk bólu. „Muszę coś zrobić, do cholery, muszę coś zrobić” - myślał gorączkowo.

- Tutaj John! - Rubenstein pędził w jego stronę, podskakując na wybojach jeepem.

- Paul, wal prosto w krzyż i wyskakuj! - krzyknął Rourke.

Jego przyjaciel podniósł w górę rękę na znak, że zrozumiał. Doktor zastrzelił tymczasem kolejnego dzikiego. W prawej ręce czuł silny ból, ale mógł się nią jako tako posługiwać. Wsunął do kabury drugiego Detonics'a i sięgnął znów po CAR-15. Wypuścił serię w kierunku napastników, próbujących zagrozić drodze pędzącemu jeepowi. Magazynek był pusty. Pozostał jeszcze Python. Kula ugodziła w pierś człowieka, znajdującego się tuż przed samochodem. Jeep przejechał przez niego, ale inny napastnik wskoczył na brezentowy dach pojazdu. Pierwszy strzał Rourke'a był niecelny, ale po drugim człowiek ten wywinął kozła w powietrzu i runął na ziemię. Doktor uskoczył w bok, rozpędzony samochód wpadł w płomienie i uderzył w podstawę krzyża. Paul, który wyskoczył w porę, otworzył natychmiast ogień do nacierających. Rourke chwycił maczetę, przeskoczył przez płomienie rozsyanego stosu i znalazł się przy nieszczęsnym kapralu. Rękami zgarniał resztki śniegu leżącego na ziemi i wrzucał go w ogień, wciąż otaczający skazańca. Zerwał zwierzęcą skórę z zabitego człowieka i gasił nią płomienie. Poczł nieznośny smród palącego się włosów. Przecinał maczetą sznury, którymi przywiązano nogi skazańca do krzyża. Jego poczerwiałe ciało wisiało teraz tylko na rękach. Rourke zajął się lewą ręką Hendersona. Przeciął więzy, ale zauważył, że dłonie kaprala przybito wielkimi gwoździami do poziomej belki krzyża.

Usłyszał tupot nóg i musiał sięgnąć po Pythona leżącego na ziemi. Wypalił prosto w twarz nadbiegającego wroga. Próbował teraz maczetą wyciągnąć gwóźdź przechodzący przez dłonie Hendersona, ale spojrząwszy w twarz żołnierza, odrzucił ją na bok. Dotknął ręką jego szyi, a potem podniósł jedną powiekę. Henderson nie żył.

Zerwał się błyskawicznie, sięgając po porzuconą maczetę. Wznosiło się nad nim ramię uzbrojone w nóż typu Bowie. „Nie dam ci szans, draniu” - pomyślał Rourke. Ostrze maczety z szybkością samurajskiego miecza spadło na szyję kudłatego przeciwnika. Krew trysnęła z przeciętych żył. Upadł, jeszcze przez chwilę walczył ze śmiercią.

John stał zdyszany z maczetą w rękę. Nie opodał grzmiał ciągle rewolwer Rubensteina. Doktor zużył dwa ostatnie pociski z Pythona i kolejny nieprzyjaciel dogorywał na śniegu. Schował pistolet do kabury i wymienił magazynek w CAR-15. Dopiero sześcioma strzałami położył następnych dwóch ludzi w skórach, którzy nacierali - jeden z drągiem, a drugi z czymś, co przypominało widły.

Załadował obydwie Detonics'y, a puste magazynki umieścił w kieszeniach. Ruszył naprzód, trzymając w każdej ręce pistolet. Wiedział, że można jeszcze ocalić chociaż część ludzi wiszących na krzyżach - ludzi wyczerpanych męką, poranionych, ale nadal żywych.

Naciskał spust i zabijał.

ROZDZIAŁ XXXVI

- Nie, do diabła, panno Tiemerowna...!

- Natalio - poprawiła.

- Niech będzie. No więc, nie! Natalio! - krzyczał Gundersen. - Nie wezmę ze sobą kobiety ubranej w szlafrok i polarną kurtkę, a poza tym majora KGB.

- Niech cię diabli! - odparła głośno.

- Dziękuję za dobre życzenia. Możesz zostać na pokładzie, jeśli chcesz. Idziemy, O'Neal.

Gundersen ruszył wzdłuż relingu w stronę przycumowanego pontonu.

- Niewożliwy! - wrzasnęła za nim Natalia.

- A co to znaczy, do cholery?

- Powiedziałam, że jest pan niemożliwy.

- No to dziękuję jeszcze raz.

Głowa Gundersena zniknęła z pola widzenia.

Natalia drżała z zimna. Pod szlafrokiem nosiła szpitalną koszulę, a kurtka polarna chroniła tylko górną część jej ciała. Wiał przenikliwy wiatr. Przypuszczała, że Gundersen już tego nie usłyszy, ale krzyknęła jeszcze w mrok:

- Dałby pan tej upartej kobiecie jakiś koc, aby nie odmroziła sobie nóg!

- Rozkaz, sir - usłyszała ironiczną odpowiedź.

- Dowcipniś - mruknęła.

ROZDZIAŁ XXXVII

Stali teraz ramię w ramię z Rubensteinem.

- Ruszajmy do krzyża - zakomenderował Rourke. - I zdejmij z nich tyłu tych biedaków, ilu się da.

- Uwolniłem już sześciu - Rubenstein przekrzykiwał huk wystrzałów - ale z tego tylko dwóch jest w jako takiej formie. Można dać jednemu z nich strzelbę, którą zdobyłem.

John lustrował pole bitwy, na którym szalały w dalszym ciągu całe tuziny dzikusów, próbujących atakować gołymi rękami, nożami i włóczniami, a także strzelających od czasu do czasu.

- Uwolnimy ich i będziemy wspólnie nieśli tych, którzy nie pójdą o własnych siłach. Przebijemy się do plaży.

Ruszył naprzód, zmieniając magazynek.

- Nie ma już amunicji - jęknął Rubenstein.

- Biegiem do najbliższego krzyża! - krzyknął Rourke, nie przerywając ognia.

Człowiek na krzyżu wydawał się półżywy; krew płynęła z przegubów rąk, ale nie miał przeбитych dłoni. Poraniono go straszliwie. Paul z nożem w zębach wspiał się na poprzeczną belkę krzyża i odwiązał jedną rękę skazańca. Rourke zajął się sznurem, którym przywiązano gołe nogi do słupa.

- Doktorze, niech Bóg błogosławi was obu - wiszący mężczyzna wyszeptał z trudem.

Rourke popatrzył na cierpiącą twarz i cała ta niesamowita sytuacja wydała mu się znajoma. Podtrzymał za nogi opuszczanego w dół człowieka. Jego ciało pokrywały krwawe smugi na plecach, klatce piersiowej i ramionach.

- Czy dasz radę utrzymać broń? - zapytał John, wstydząc się obcesowości tego pytania.

- Myślę, że tak - wymamrotał żołnierz.

- Dobra.

Ruszył pędem w stronę rannego dzikusa, który miał broń. Strzelił do niego w biegu, widząc, że próbuje unieść pistolet. Wyrwał CAR-15 z nieruchomych rąk. Obszukał trupa i nie zawiódł się. Wracał do Rubensteina z trzema pełnymi magazynkami. Dwóch desperatów zdecydowanie zagrodziło mu drogę. Jednego położyły dwa pociski z CAR, ale drugi zaatakował gołymi rękami. Rourke cofnął się o krok dla nabrania rozmachu i uderzył napastnika kolbą pistoletu w twarz. Długowłose dzikus padł jak rażony gromem. Przyklęknął przy zabitym napastniku. W powietrzu świszczały kule. Strzelano do niego z dużej odległości. Podniósł karabinek M-16 leżący przy zabitym. Przeszukał jego szmaciano-skórzane ubranie i znalazł dwa trzydziestonabojowe magazynki. Ruszył naprzód. Po paru jardach wypalił z M-16 w powietrze i krzyknął:

- Paul!

Rubenstein usłyszał go, ale nie przestał strzelać w kierunku trzech postaci szturmujących krzyż.

- Nie mam już amunicji do Schmeissera, John! Rourke uklęknął przy uratowanym żołnierzu.

- To dla ciebie. - Podał mu karabinek M-16 i trzy związane ze sobą magazynki. Wstał i włożył Rubensteinowi do kieszeni kurtki naboje do CAR-15.

- Wrócimy po ciebie! - krzyknął do żołnierza i pobiegli do następnego miejsca kaźni, odległego o jakieś dwadzieścia pięć jardów. Padli tam błyskawicznie na ziemię, słysząc kanonadę z broni maszynowej, dubeltówki i rewolwerów. Strzelano do nich od strony dalszych krzyży.

Rourke skoczył i skrył się za krzyżem. Wycelował dokładnie i pociągnął za spust raz, a potem jeszcze raz. Jeden ze strzelających osunął się powoli na ziemię.

- Niech ich piekło pochłonie! - wrzasnął Rubenstein. Zobaczyli, że do wiszącego człowieka strzelał dzikus odziany w jasną skórę. Ciało podskakiwało po każdym strzale, aż w końcu znieruchomiało. Nie licząc nieszczęśnika nad nimi, jeszcze tylko jeden żywy człowiek znajdował się na krzyżu, odległym o około pięćdziesiąt jardów. Krople krwi spadały na dłoń Rourke'a. Skazaniec wiszący nad nim już nie żył. Na jego czole zobaczyli krwawy ślad po uderzeniu pocisku. Rourke stał wyprostowany za słupem.

- Nie podnoś się! - krzyknął Paul.

Szybko opróżnił magazynek CAR-15, strzelając do grupki skupionej wokół następnego krzyża. Wymienił magazynek na nowy, ale i ten po chwili był pusty. Ci, których nie dosięgły pociski, rozbiegli się na wszystkie strony. Dwóch z nich popędziło tam, gdzie wisiał ostatni żywy człowiek.

- Naprzód, Paul! - Rourke w biegu wyciągnął Detonics'a. Strzelano teraz ze wszystkich stron. Być może dzicy otrzymali wsparcie pobratymców, którzy nadciągali z okolicznych lasów. John uświadomił sobie, że przeciwników jest znacznie więcej, niż na początku walki. Być może niektórzy wyruszyli z dalszych obozów i dopiero teraz dotarli na miejsce kaźni „niewiernych”.

Pod krzyżem wymienił magazynek Detonics'a. W CAR-15 nie miał już ani jednego naboju. Wyciągnął drugiego Detonisc'a i strzelał obydwoma. Paul wspiał się już na krzyż.

- Wyzionął ducha! - krzyknął z góry.

Doktor spoglądał przez chwilę na zamęczonego żołnierza, a potem, jak na strzelnicy sportowej, mierzył długo i trafił w samo serce człowieka, który nadbiegał.

- Paul! Skacz i zabieraj ludzi, których uwolniłeś, jeśli jeszcze żyją. Spotkamy się po drugiej stronie tego diabelskiego kręgu. Ja idę po żołnierza z karabinem.

- Dobra.

Rubenstein zeskoczył z krzyża i pobiegł co tchu. Rourke ruszył w drugą stronę. Miał tylko kilka sztuk amunicji do Detonics'ów. Przystanął na chwilę i podniósł dubeltówkę leżącą na ziemi. „Złamał” ją i wyrzucił z komór puste, mosiężne łuski. W pośpiechu włożył nowe naboje. Biegł i strzelał z Detonisc'a do trzech osobników, próbujących przeciąć mu drogę. Spróbował zdobyczej dubeltówki, marki Mossberg. Nacisnął spust i trafił człowieka z długim, błyszczącym lancetem. Po drugim strzale pozostał już tylko jeden przeciwnik. Znowu „złamał” dubeltówkę. Trzeci dziki próbował zaatakować go włócznią wykonaną z metalowego drąga, zakończonego niebawale długim ostrzem. W ostatniej chwili John zrobił unik. Chwycił dubeltówkę za lufę jak kij baseballowy i uderzył z całej siły w twarz napastnika.

Odrzucił strzelbę. Miał jeszcze około dziesięciu jardów do uratowanego żołnierza, który włączył się do walki ze swym M-1. Jeszcze pięć jardów. Pierwsza kula trafiła żołnierza w ramię, a następne w piersi i w plecy. Pistolet Rourke'a plunął ogniem - ciało jednego ze strzelających osunęło się na śnieg. Kolejny pocisk z Detonisc'a trafił w brzuch rosnącego osobnika, który wyrzucił ramiona w górę i

padł na plecy.

Magazynek pistoletu był pusty. John wyrwał karabinek z rąk leżącego żołnierza. Nacisnął spust, ale z lufy wyleciały tylko trzy naboje. Broń została zaprogramowana na trzystrzałową serię. Strzelał nadal, powstrzymując nacierających przeciwników. Ranny żołnierz podniósł głowę i zawołał:

- Cole, Cole...

- To ja, John Rourke, jestem przy tobie. - Doktor pochylił się nad nim.

- Tak, poznaję cię. Ale chcę, żebyś wiedział, że Cole nie jest tym, za kogo się podaje. Ty i inni nie macie pojęcia, że...

Zakaszłał gwałtownie, strużka krwi spłynęła mu z ust. W nieruchomych, otwartych oczach odbijał się blask ognia. Rourke przymknął jego powieki i pobiegł naprzód „opróżniając” trzydziestonabojowy magazynek.

Po drugiej stronie pierścienia krzyży napotkał Rubensteina i dwóch uwolnionych żołnierzy, podpierających trzeciego, zwisającego bezwładnie. Nie było już amunicji. Ostatnia seria położyła jeszcze jednego napastnika. Rourke uniósł ręcznie ładowaną strzelbę, nie sprawdzając nawet, czy ma do niej zapasową amunicję w kieszeniach. Bezskutecznie szarpał dźwignię i spust. „Nabój jak do magnum” - pomyślał, jednak nie miał już czasu na dalsze przyglądanie się broni. Człowiek z włócznią pędził wprost na niego. Strzelba gruchnęła głośno; napastnik przystanął, jakby zdziwiony i osunął się na ziemię. Rourke biegł dalej, przeładowując co chwilę broń, aż w końcu opróżnił magazynek. Obok niego był Rubenstein.

- Masz jeszcze jakąś amunicję do AR?

- Nie mam.

- No to pozostają nam tylko maczugi! - krzyknął Rourke i pchnął nożem w piersi rozwścieczonego dzikusa, który wymachiwał przed nim siekierą.

Widząc przed sobą kolejnego straceńca, chwycił strzelbę za lufę, ale Rubenstein był szybszy i kolbą pistoletu zmasakrował jego głowę.

- Na skały! - zakomenderował Rourke.

Przed nimi wyrosły znowu dwie postacie uzbrojone we włócznie. Jedna z nich rzuciła się w kierunku doktora w momencie, gdy nacisnął spust. Uskoczył w bok i zobaczył, jak napastnik trzyma się za krwawiącą szyję. Drugi człowiek w skórze leżał na ziemi, trafiony kulą z browninga Rubensteina.

- Znalazłem jeszcze trochę naboji - powiedział Rubenstein.

- To oszczędzajmy je, ile tylko się da.

Rourke przystanął widząc, że jeden z uratowanych żołnierzy został postrzelony w nogę.

- Bierzcie pierwszego, a ja zajmę się rannym w nogę.

Pochylił się nad żołnierzem i stwierdził, że z przestrelonego kolana obficie leje się krew. Odruchowo sprawdził stan amunicji. Pozostało jeszcze około trzech tuzinów pocisków.

- Oprzyj się na mnie. - Objął ręką i podparł lewym ramieniem żołnierza. W prawej ręce trzymał Detonisc'a gotowego do strzału. „Dzicy się naradzają” - tak przynajmniej mu się wydawało, kiedy odwrócił się do tyłu. Mieli do czynienia z ludźmi, którzy torturowali swe ofiary w okrutny sposób, ale nie byli zorganizowani i dowodzeni przez nikogo. Gdyby tak było, zapewne by ich zabito już w pierwszej minucie bitwy. Byli szaleni i żądni krwi, ale pozbawieni instynktu samozachowawczego w walce. Używali częściej noży i włóczni niż strzelb, desperacko ginąc jeden po drugim.

Ranny człowiek zaczął jęczeć:

- Moje kolano, o Jezu pomóż mi, moje kolano...

- Już niedaleko - skłamał Rourke, taszcząc rannego chłopaka do podnóża skał, na które przecież musieli się jeszcze wspiąć, a potem zejść na plażę. Rubenstein prowadził drugiego rannego zwiadowcę. Mieli tylko jedną szansę ocalenia: dotrzeć do brzegu, prosząc Boga, aby zesłał tam porucznika O'Neala z grupą desantową. Usłyszeli głośny, piskliwy wrzask kobiety:

- Zabić niewiernych!

- Niewiernych! - powiedział do siebie Rourke. - Po tym czyścucu należy nam się już tylko niebo.

ROZDZIAŁ XXXVIII

- Komandorze, ogień ucichł.

- Mam nadzieję, że ktoś z naszych jeszcze żyje. Gundersen wspiał się na stromy blok skalny, a potem wskoczył na następny. Oceniał, że do szczytu wzgórza pozostało im jeszcze około dwudziestu jardów. Pięć minut wspinaczki.

- Weź swoich ludzi O'Neal i każ im się rozproszyć. Jeśli tam na górze przygotowano zasadzkę, nie będziemy już mieli na nic czasu.

- I wyciągną nas jak kraby z wody, sir.

- Niech pan da spokój z tymi marynarskimi porzekadłami.

Gundersen dyszał ciężko i nie miał ochoty na żarty. Z trudem wspiał się na kolejny stopień skalny, wspominając ze złością przytulne wnętrza łodzi podwodnej. O'Neal przekazał rozkazy. Gundersen pozostawił przy sobie kilku ludzi z piechoty morskiej. Dotarł już prawie do szczytu wzniesienia i przywarł do skały. Wydobył z kabury i odbezpieczył swoją „czterdziestkę piątkę”. Odetchnął głęboko, gotowy do ostatniego etapu wspinaczki. Ruszając w górę, wydał zdyszczanym głosem kolejny rozkaz:

- Wchodzimy... wchodzimy na szczyt. Pójdziecie... Pójdziecie tyralierą. W razie czego wracajcie do mnie i do O'Neala.

Nie był pewien, co ich czeka i czy lepiej, żeby oddział pozostał rozciągnięty, czy skupiony wokół swego dowódcy. Podciągnął się w górę lewą, a potem prawą ręką. Jego broń otarła się o skałę.

- Do diabła morskiego! - warknął wściekle, ale już był na szczycie wzniesienia.

Zaskoczony, ujrzał Rourke'a, Rubensteina i dwóch rannych, półżywych ludzi ściganych przez setkę upiornych postaci, jeszcze straszniejszych od jeńców dostarczonych na pokład łodzi podwodnej. Horda uzbrojona była w noże, strzelby, pistolety i niosła zapalone pochodnie. Do Gundersena dobiegł wyraźny, nieludzko dziki ryk:

- Zabić niewiernych!

- Dobry Boże! - szepnął komandor. - Chryste...!

ROZDZIAŁ XXXIX

Rourke opuścił rannego żołnierza na ziemię i odwrócił się w kierunku ścigającej ich tłuszczy. W obu rękach trzymał pistolety z pełnymi magazynkami.

- Paul, nie damy rady holować ich dalej.
- Wiem - odparł Rubenstein.
- Jeśli się stąd nie wydostanę, a tobie się uda...
- Wrócę po nich, przysięgam w imię Boga, John.
- A co z Natalią?
- Zaopiekuję się nią.

Rozejrzeli się dookoła. Znajdowali się na otwartej przestrzeni i nie mieli już gdzie uciekać. W pobliżu nie było żadnej skały ani krzaków, a dziki tłum podchodził coraz bliżej, uzbrojony we włócznie, pałki i noże. Płonące pochodnie oświetlały już twarze otoczonych uciekinierów.

- John...

Rourke wsunął pistolet za pas i położył rękę na ramieniu Rubensteina. Nic nie mówiąc, patrzył na stojącego obok przyjaciela, z którym był gotów iść na śmierć. Zaciśnął mocniej dłoń na pokrytej gumą kolbie Detonisc'a. Pokiwał głową, jakby podjął jakąś ważną decyzję. Zostawi jeden pocisk dla Paula, kiedy dzicy będą chcieli wziąć go żywcem. Będzie to lepsze od męczarni na krzyżu. Był gotów...

Tłum zbliżał się powoli, ostrożnie. Ludzie z pierwszego szeregu wymachiwali pochodniami; przystanęli na chwilę, ale po chwili znów ruszyli wolno, lecz zdecydowanie. Pojedyncze okrzyki zlewały się w jeden ryk mrozący krew w żyłach:

- Zabić niewiernych, zabić niewiernych, zabić...

- Pamiętasz John, jak uczyłeś mnie strzelać? Wydaje mi się, jakby to było w moim poprzednim życiu - szepnął Rubenstein.

Tłum znajdował się w odległości około pięćdziesięciu jardów. Do oczu docierał już gryzący dym pochodni; w ich blasku twarze mężczyzn i kobiet lśniły od potu. Wrzawa nagle ucichła. Ktoś z tłumu wystąpił naprzód. W jednej ręce trzymał pochodnię, w drugiej - błyszczący nóż. Na ostrzu widać było ślady krwi.

- Zabić niewiernych! - krzyknął samozwańczy przywódca.

Rourke podniósł spokojnie pistolet i wystrzelił. Pocisk rzucił przywódcę w środek tłumu. Od pochodni zapaliła się skóra, okrywająca jedną z kobiet. Rozległ się straszliwy krzyk, który ucichł dopiero wtedy, gdy oszalała horda stratowała na śmierć swoją poparzoną towarzyszkę. Tłum nie rozbiegł się, lecz ruszył jak lawina na Rourke'a i Rubensteina. Doktor czekał spokojnie.

Przypomniało mu się powiedzenie, które często powtarzał ojciec: „Nie strzelaj, dopóki nie zobaczysz białek oczu nieprzyjaciela”.

W tej chwili brzmiało to jak kiepski żart.

ROZDZIAŁ XL

W świetle pochodni widzieli białka ich oczu. Otworzyli ogień jednocześnie. Ich pistolety grały w różnej tonacji. Ciała kłębiły się, okręcały, upadały, rozrywały je pociski, ale tłum wydawał się nieustępliwy. W jednym z Detonics'ów skończyła się już amunicja. Z drugiego Rourke trafił w środek klatki piersiowej mężczyznę z żelaznym drągiem. Musiał wymienić magazynki. Pistolet Rubensteina umilkł również. Pierwszy szereg napastników był już tak blisko, że czuli ciepło pochodni. W tym momencie rozległ się huk wystrzału, potem drugi, trzeci i następne. Czy to dzicy strzelają? Rourke rozpoznał karabinek M-16. W pierwszych szeregach hordy upadło na ziemię kilku ludzi. Znowu seria strzałów z broni automatycznej.

- Tam, John! - pokazał ręką Rubenstein.

Doktor spojrział w prawo i dostrzegł błyski ognia na krawędzi skalnego zbocza. Z odsieczą przybyli ludzie wyposażeni w broń automatyczną.

- Rourke! Doktorze Rourke! - usłyszał krzyk, ale nie poznał, kto go woła. Strzelał ostatnimi pociskami do wyjących dzikusów, którzy uciekali w popłochu, padali, gubili płonące pochodnie. Pistolet w prawej ręce: głowa jednego z włócznią rozerwała się jak kula dyni. Pistolet w lewej: z piersi kobiety uzbrojonej w strzelbę trysnęła krew. Pistolet w prawej: pękła szyja mężczyzny z długą brodą, zalewając posoką jego potężny tors. Pistolet w lewej ręce, pistolet w prawej ręce. Lewy i prawy pistolet. Lewy, prawy... Lewy, prawy... Oksydowana stal Detonics'ów lśniła w blasku ognia.

Przed nimi wyrósł stos ciał wijących się z bólu i tych już nieruchomych. Magazynki pistoletów były znowu puste.

- Rourke! - Odwrócił się gwałtownie i zobaczył komandora Gundersena nadbiegającego z „czterdziestką piątką” w ręku. Obok niego biegło dwóch marynarzy uzbrojonych w M-16.

- John! - krzyknął Rubenstein. - Widzisz ich, John! Paul trzymał oburącz swojego browninga. Znajdował się w przepisowej postawie strzeleckiej: z jedną nogą wysuniętą do przodu. Jego pistolet pluł ogniem raz po raz. Gundersen dobiegł do nich, marynarze padli natychmiast na ziemię, strzelając krótkimi seriami prosto w kotłujący się i pierzchający tłum.

- Przyprowadziłem tylko piętnastu ludzi; tyle mogłem zabrać z okrętu. Nie przypuszczałem, że znaleźliście się w takim piekle.

- Jedną chwileczkę. - Rourke ruszył naprzód pod osłoną ognia marynarzy. Zauważył, że reszta oddziału Gundersena cofnęła się nieco, zajmując dogodne pozycje na skałach. W rękach nieżywego mężczyzny dostrzegł M-16. Nie opodal znalazł pół tuzina magazynków zawierających od dwudziestu do trzydziestu naboji. Na końcu trafił na jeszcze jeden M-16. Rozpoczął odwrót w stronę Rubensteina i Gundersena. Dwóch żołnierzy wspomagało teraz marynarzy ze straży przybocznej komandora.

- Wyośmy się stąd, Rourke - powiedział Gundersen.

- Myślałem tak od początku - odparł doktor, podając część zdobycznych naboí swemu młodemu przyjacielowi. Jednakże trzydziestonabojowe magazynki zostawił dla siebie. „Polubił” je tej nocy...

Wyciągnął ze swojego karabinka prawie pusty magazynek i włożył go do torby. Manipulował dźwignią M-16, wyrzucając pustą łuskę. Rubenstein złapał ją w locie. Rourke uśmiechnął się do niego i przesunął dźwignię.

- Teraz możemy ruszać - powiedział.

Horda ponownie zwarła szeregi i była gotowa do natarcia. Do zbawczej plaży było ciągle daleko.

ROZDZIAŁ XLI

Natalia drżała. Było jej zimno. Odgłosy wystrzałów, dobiegające ze szczytu masywu skalnego, przejmowały ją trwogą. Czy Rourke i Paul żyją?

Po pojedynczych strzałach nastąpiły całe serie, a potem trwała bitewna kanonada. Chciała coś zrobić, ale była bezsilna. Mogła tylko dreptać nerwowo po pokładzie, ubrana w szlafrok i owinięta pledem jak indiańska squaw. Mogła tylko patrzeć, słuchać i czekać, szcękając z zimna zębami.

Obejrzała się za siebie i zobaczyła marynarza zziębniętego podobnie jak ona. Jego policzki i uszy poczerwieniały od przenikliwego wiatru. Uzbrojony był w M-16 i pełnił służbę wartowniczą na pokładzie. Kilka postaci w sztormowych pelerynach czuwało z bronią w rękę. W ciemności białą ich marynarskie czapki.

- Marynarzu, co komandor Gundersen polecił wam, gdyby nie powrócił oddział wysłany na ląd?
- Wydał rozkaz, abyśmy stąd zwiewali; tylko tyle obilo mi się o uszy.
- A co macie robić, gdyby tamci wracali pod ostrzałem nieprzyjaciela?
- Musimy chronić okręt.
- A nie wspomagać ogniem waszych ludzi?
- Nie było takiego rozkazu, proszę pani.

Marynarz uśmiechnął się do niej. Odpowiedziała mu również uśmiechem, przyglądając się badawczo jego wysokiej, silnej postaci. O, gdyby wiedział, o czym myślała w tej chwili...

Znowu obserwowała skały, nad którymi błyskały ogniki broni palnej i ukazywały się płomienie. Co tam się właściwie dzieje? W pewnej chwili dotarł do jej uszu dźwięk podobny do uderzenia fal o brzeg, ale jakby bardziej przytłumiony, przypominający zawodzenie ludowej pieśni. Natalia zadrżała. Mogła tylko czekać.

ROZDZIAŁ XLII

Rourke wycofywał się, waląc krótkimi seriami w ścigającą go watahę. Dzicy odpowiadali ogniem i chociaż nie strzelali celnie, udało im się jednak zabić jednego z ludzi Gundersena. Inny marynarz, mimo że był postrzelony w ramię, próbował nieść razem ze swoim towarzyszem martwego kolegę.

Gundersen biegł na czele. John ocenił, jak daleko jest jeszcze do krawędzi skalnego wzniesienia.

- Moi ludzie i ci dwaj zdjęci z krzyży zejda na dół, przygotują łódź i będą na nas czekać - oznajmił Gundersen.

- Będą próbowali nas dostać, kiedy będziemy schodzili na dół - powiedział Rourke. - Paul i ja weźmiemy po trzech ludzi. Będziemy osłaniać schodzących na plażę.

- A gdzie, do diabła, jest Cole?

- Nie mam pojęcia - wzruszył ramionami.

- No dobrze. Niech pan zbiera ludzi.

- Paul! - krzyknął Rourke do przyjaciela powstrzymującego ogniem dzikich, którzy rozsypali się wśród skał u szczytu wzniesienia i podchodzili ciągle bliżej i bliżej...

- Paul! - Tak.

- Bierz trzech ludzi i zajmijcie pozycje jak najbliżej krawędzi wzniesienia. Osłaniajcie mnie, póki nie znajdę się jakieś dwadzieścia pięć jardów od krawędzi. Wtedy my postawimy zapórę ogniową, a wy zmykajcie.

- Robi się. - Rubenstein oddalił się.

Doktor wziął jednego z marynarzy pod ramię, a dwóm innym dał znak ręką, żeby szli za nim. Komandor Gundersen schodził już w dół na czele reszty oddziału.

- Powodzenia! - krzyknął, ale nie usłyszał żadnej odpowiedzi.

ROZDZIAŁ XLIII

Paul podniósł swój zdobyczny M-16 na wysokość ramienia. Jeden z przydzielonych mu ludzi zajął pozycję z lewej strony, dwaj pozostali znajdowali się trochę wyżej, z tyłu. Dwie stopy za plecami Rubensteina zaczynało się strome zbocze. Widział w dole postrzępione, ciemne bloki skalne, czekające... „żeby ktoś skreślił sobie na nich kark” - pomyślał. Odwrócił się do swoich ludzi.

- Kiedy ja zacznę, strzelajcie, ale tylko krótkimi seriami, maksimum trzy pociski naraz. Nie wolno nam zużyć całej amunicji, zanim nie dostaniemy się na brzeg morza, a pamiętajcie, że musimy się jeszcze osłaniać ogniem w czasie odwrotu na łódź. Wykonać!

Zabrzmiało to jak rozkaz i Paul uśmiechnął się do siebie, mile zdziwiony, że potrafi kimś dowodzić. Nie służył nigdy w wojsku, ale od wybuchu wojny stał się lepszym wojownikiem niż prawdziwi żołnierze. Trzej ludzie z piechoty morskiej patrzyli na niego jak na wyższego rangą przełożonego, a był przecież ich rówieśnikiem.

Paul mocniej oparł o ramię kolbę M-16. Wśród skał skradał się w ich stronę dziki, a za nim drugi i trzeci. Rubenstein wypuścił krótką serię, a potem jeszcze jedną. Nieruchome ciała napastników utkwili wśród skał. Dopiero teraz uświadomił sobie, że śmiał się, kiedy naciskał spust. Czyżby to był objaw obłąkania? Ale nie miał czasu, aby się nad tym zastanowić.

- Przystaw przełącznik ognia! - ryknął na marynarza, który strzelał seriami po siedem pocisków. Rubenstein naciskał spust, śmiał się i mruczał do siebie bez ustanku:

- Przełącznik ognia, przełącznik ognia, przełącznik...

ROZDZIAŁ XLIV

Rourke raz po raz naciskał spust Słyszał jak Rubenstein walczy wraz ze swymi ludźmi trochę wyżej, na szczycie skały. „Trzeba powstrzymać hordę tak długo, aż tamci dotrą do łodzi i spuszczą je na wodę” - pomyślał. „Ale wtedy znowu trzeba będzie osłaniać łodzie, zanim nie odpłyną na bezpieczną odległość. Mogą wystrzelać nas na łodziach jak kaczki.” Zobaczył skradającą się postać i wysłał trzy świetliste smugi w ciemność. Trzej ludzie Rubensteina schodzili już w dół, ale doktor zauważył, że Paul jest jeszcze na górze.

- Ruszaj Paul! - krzyknął.

Odwrócił się do swoich trzech towarzyszy.

- Dołączcie do tych trzech na dole i osłaniajcie łodzie podczas wsiadania do nich.

Ruszył do Rubensteina, który zaczął ześlizgiwać się w dół zbocza. Dzicy nacierali teraz tak zdecydowanie, jakby wcale nie zależało im na życiu. Wokół Paula sypały się iskry ze skał. Jego broń nagle zamilkła.

- Wymień magazynek! - wrzasnął Rourke. Rubenstein nie dawał znaku życia, był niewidoczny wśród skał.

- Paul! - krzyknął ze wszystkich sił Rourke.

- Zwiewaj, John. Nie mam już amunicji.

Doktor przyspieszył kroku. Jeszcze pięćdziesiąt metrów. Zobaczył postacie przemykające wśród skał i otworzył ogień. Teraz Paul powinien uciekać.

- Paul!

Jakaś postać runęła z góry na biegnącego Rubensteina. Doktor w ułamku sekundy strzelił do napastnika, który wywinął kozła i zniknął za ogromnym głazem. Rozległo się głośnie wycie, które wkrótce ucichło. Dwóch następnych wyskoczyło zza skały. Rubenstein kolbą karabinu zwałił z nóg jednego z nich. Drugiego napastnika trafiła seria z pistoletu Rourke'a.

- Paul!

- Ratuj swój tyłek!

Pośliznął się i upadł na skałę. Znowu ujrzał Paula, który znajdował się nieco wyżej. Nie miał przy sobie żadnej broni. Doktor, czuwający jak anioł stróż, wycelował do oberwańca skaczącego po skałach tuż za Rubensteinem. Ramię dzikusa uzbrojone w maczetę wzniosło się, by zadać cios. M-16 zagrział tylko raz.

- No, kurwa! - zaklął Rourke, patrząc ze złością na bezużyteczną broń.

Intensywne odgłosy wystrzałów docierały teraz z plaży. Ich echo dudniło wśród skał.

- Głupcy! - warknął. - Gotowi wypstrykać bezmyślnie całą amunicję.

Spojrzał w dół. Jedna z łodzi już odpływała.

- Pospiesz się, Paul!

- Staram się...

Rubenstein przystanął na wielkim bloku skalnym, odwrócił się i z całej siły uderzył rękami w pierś człowieka z maczetą, który zachwiał się i straciwszy równowagę, runął w dół na rumowisko skalne. Rourke sprawdził stan zdobytych magazynków. Dziesięć naboju do Detonisc'a w pierwszym, a sześć w drugim pistolecie. Odrzucił M-16 w ciemność; nie był mu potrzebny. Do Paula zbliżał się w podskokach dzikus uzbrojony w strzelbę. Detonics plunął ogniem.

- Bierz jego broń, Paul!

Rubenstein kluczył przez chwilę wśród skał, ale w końcu ukazał się niosąc M-16 i dwa magazynki. Zajął stanowisko obok Johna i przyłożył kolbę karabinka do ramienia.

- Oszczędzaj na później ile się da - przypomniał Paulowi.

Ruszyli w dół, co chwilę ślizgając się na śniegu. Widzieli, jak załogi dwóch łodzi walczą z falami. W oddali rysowała się sylwetka łodzi podwodnej. Od brzegu było do niej jakieś dwieście metrów. Strzelcy znajdujący się na jej pokładzie mogli razić ogniem nabrzeże, osłaniając w ten sposób ludzi wycofujących się z plaży.

„O'Neal i Gundersen są już chyba na okręcie” - pomyślał Rourke. „Ciężko trafić z takiej odległości pojedynczego człowieka, ale może pomóc jednoczesny ogień z wielu karabinów.”

Zeskoczył na ostatni stopień skalny i prawie zjeżdżając na plecach, wylądował na piasku. Rubenstein słał serię po serii. Krzyk nadciągał z góry jak lawina. John popędził do oczekującej go grupki marynarzy. Obejrzał się - dżicy nadchodzili od strony zbocza. Nadciągali jak nie poskromiony żywioł.

ROZDZIAŁ XLV

Nadchodził świt. Teraz dopiero mogła się przyjrzeć dokładniej schwytanym dzikusom. Natalia rozróżniała już sylwetki ich pobratymców, zsuwających się po skalnym zboczu na piaszczyste wybrzeże.

- Jest mi przykro marynarzu, ale muszę to zrobić - powiedziała Natalia do wartownika i uderzyła go stopą prosto w szyję. Był to silny cios obezwładniający. Kiedy upadł, sięgnęła po jego M-16. Poczła przenikliwy ból, promieniujący z gojącego się brzucha, ale zacisnęła zęby. Zrzuciła z siebie okrywający ją koc. Pociągnęła dźwignię M-16. Najbliższą łódź dzieliło od okrętu około pięćdziesięciu jardów. Podeszła do burty i kierując lufę M-16 w górę, wypaliła krótką serię. Wszyscy ludzie na pokładzie patrzyli zaskoczeni.

- Ludzie w łodziach i ci na brzegu nie dadzą sobie rady, jeśli my im nie pomożemy. Musimy otworzyć ogień w kierunku skał, ale trzeba strzelać wysoko, aby nie trafić w naszych towarzyszy. Najlepiej trzynabojowymi seriami. Ruszcie się!

Marynarze stali bez ruchu.

- O tak, patrzcie! - Uniosła broń i wypuściła serię w kierunku plaży. Oparła broń o reling. - Musicie to zrobić...

- Nie było rozkazu - rozległ się jakiś głos. - Nie wolno nam otworzyć ognia.

- Posłuchaj! - syknęła. - Zabiję każdego, kto nie będzie strzelał. Tam są wasi koledzy i wy możecie ich ocalić.

Anastazja Tiemerowna ponownie podniosła karabin. Ból brzucha nie ustępował. Skierowała broń w stronę człowieka, który się do niej odezwał. Marynarz wpatrywał się przerażony w wylot lufy.

- Gdzie jest Harriman, proszę pani? - zapytał drżącym głosem.

- Uderzyłam go i zabrałam mu broń.

Odwrócił się do kolegów stojących w części okrętu kryjącej wyrzutnie pocisków.

- Słyszeliście, co ona powiedziała? Jeśli nie złamiemy tych gównianych rozkazów, to wyjdzie z tego jeszcze większe gówno.

Spojrzał na Natalię. - Przepraszam...

- Nie szkodzi, marynarzu - uśmiechnęła się.

- Czterech z nas niech rusza na dziób, dwóch niech zostanie przy pani major, a reszta niech zajmie pozycje na prawej burcie. I strzelać wysoko! - zakomenderował i ruszył pędem po pokładzie, a inni rozbiegli się w ślad za nim.

Natalia poczuła ulgę. Przygotowała karabin do strzału. Nadal rozróżniała postacie walczących na

brzegu ludzi. Migają tam świetlne punkciki. Wycelowwała nieco w górę. Jej pociski pomknęły przez gęstwiny białych, wirujących płatków śniegu.

ROZDZIAŁ XLVI

Zaskoczony Rourke spojrział na widoczną w oddali sylwetkę łodzi podwodnej. Dobiegł stamtąd odgłos wystrzałów ręcznej broni, a w chwilę później rozległa się kanonada pokładowych karabinów maszynowych. Pociski sypały się na zbocze, wznoszące się nad plażą.

- Bierzcie dwie ostatnie szalupy i spuszczajcie je na wodę - wydał polecenie marynarzom.

Zerwał się z ziemi i pobiegł w stronę morza. Część napastników już tam była; zagrodzili mu drogę. Serią ze zdobycznego M-16 przygwoździł kilku z nich do ziemi. Nie mając więcej amunicji, zaatakował kolbą karabinka, tłukąc gdzie popadło. Odrzucił broń i skoczył w wodę. Zalewały go lodowate, spienione fale.

- Doktorze Rourke! - krzyknął człowiek pilnujący łodzi, uzbrojony w M-16.

- Dawaj go! - syknął John i wyrwał karabinek z rąk marynarza. Otworzył ogień do hordy, która pędziła w stronę wody.

- Mam tylko jeden komplet naboji! - próbował oponować marynarz.

- Zrobię z nich lepszy użytek niż ty.

Wypuścił kolejne trzy serie. Obliczył, że pozostało mu jeszcze piętnaście pocisków. Rubenstein, wraz z sześcioma marynarzami, zbliżał się do wody, ciągnąc za sobą gumowe łodzie. Doktor czuł, jak drętwieją mu nogi. Woda dostała się do jego butów. Przetawiał przełącznik na ogień pojedynczy i trafił napastnika dzierżącego jakąś staroświecką dubeltówkę. Ciało plasnęło w przybrzeżną wodę. Rubenstein jednym skokiem znalazł się przy zabitym człowieku. Podniósł dubeltówkę i strzelił w piersi dzikiego, zbliżającego się do łodzi.

- Odcinać linę! - wrzasnął Rourke.

Jeden z marynarzy wyciągnął swój uniwersalny nóż. Uwolniona łódź ruszyła do przodu. Druga, dowodzona przez Rubensteina, sunęła już po wodzie. Ostrzeliwali się w dalszym ciągu. Paru dzikusów brodząc w wodzie, próbowało dogonić odpływające szalupy. Z łodzi podwodnej grzmiały strzały.

Rourke przykucnął nisko i w tej chwili lodowaty strumień wody oblał mu twarz. Otarł się i strzelił do kolejnego długowłosego desperata.

- John! - usłyszał krzyk Paula.

Ogromny napastnik przewrócił łódź. Rourke wycelował w jego głowę, ale zanim zdążył nacisnąć spust, silne ramię uniosło maczetę i uderzyło w gumowy kadłub łodzi. Powietrze zaczęło z niej uchodzić z sykiem. Potężny dzikus trafiony w czoło, zniknął pod wodą.

Wypatrywał wśród fal krótko ostrzyżonej głowy przyjaciela. Rubenstein ukazał się nagle wyprostowany, ale znowu zważyło go z nóg. Rourke ściągnął z siebie kurtkę i skórzane szelki do

noszenia broni. Odpiął pas z kaburą i wrzucił go do wody. Zalewany przez fale, ruszył w stronę przyjaciela. Słona woda uderzyła go w twarz. Zimno paraliżowało jego ruchy. Coraz więcej napastników wskakiwało do wody. Doktor sięgnął do kieszeni po składany nóż. Włócznia świsnęła jak harpun, tuż nad jego głową. Odwrócił się i rzucił nożem, którego ostrze błysnęło jak błyskawica i utkwilo w gardle napastnika. Wyciągnął zakrwawiony nóż i rozglądał się po powierzchni zatoki. Nie dostrzegł Rubensteina.

Zanurzył się i nurkował dotykając ręką dna. Chociaż był już świt, pod powierzchnią panowała ciemność. Wreszcie dostrzegł jakiś kształt wyróżniający się nieco w mroku. Ruszył w jego kierunku w chwili, gdy ostrze maczety przeszło w odległości paru cali od jego twarzy. Wynurzył się i ujrzał obok siebie dwóch nieprzyjaciół. Jeden z nich dźgał włócznią wodę, a drugi szykował się do ciosu maczetą. Długie błyszczące ostrze przecięło powietrze, ale zdążył się w porę cofnąć. Rozległ się strzał i człowiek z maczetą zniknął pod powierzchnią. Doktor spojrział w kierunku brzegu.

- Cole! - krzyknął z mieszanym uczuciem radości i niechęci.

Cole pędził przez plażę, a jego karabin sypał jasnym płomieniem. Tymczasem człowiek z włócznią parł na Johna, jednak po drodze potknął się i runął z pluskiem w wodę. Rubenstein, ze zranioną prawą skronią, ukazał się nagle wśród fal. Doktor podbiegł do niego i wyciągnął rewolwer z kabury wiszącej na piersi przyjaciela. Nie było już w nim amunicji. Człowiek z włócznią znowu nacierał.

Rourke przełożył nóż do prawej ręki i szybkim ruchem trafił wroga w środek piersi. Dotarł do niego i uderzył kolbą rewolweru w tył głowy. Wyciągnął nóż z ciała pokonanego dzikusa i wyprostował się, ciężko dysząc. Napór wody odrzucił go do tyłu. Zobaczył Paula walczącego z falami. Cały jego sprzęt bojowy był w nieładzie. John podparł go ramieniem.

- Paul, jak się czujesz?

- Wszystko...cholera...w porządku.

Krew płynęła z jego zranionej skroni. Obok nich rozległy się wystrzały. Podtrzymywał ciągle przyjaciela, w wolnej ręce trzymając nóż przygotowany do walki.

Nadciągał Cole.

- Trzymaj się, Rourke! Pomogę ci holować Rubensteina. Doktor patrzył na niego czujnie i dalej ścisnął rękojeść noża.

- Co, do diabła, się z tobą działo?

- Wpadłem w pułapkę tam na skałach. Opowiem potem.

Cole zarzucił ramię Rubensteina na szyję i zaczął prowadzić go w stronę łodzi obciążonej podwójną załogą. Była to ostatnia szalupa, która mogła ich ocalić.

ROZDZIAŁ XLVII

Zabłąkane kule uderzały od czasu do czasu w stalowy kadłub łodzi podwodnej.

Gundersen podał rękę i pomógł wsiąść z łodzi Johnowi, który wchodził ostatni na pokład. Miał obdartą skórę na ramionach, ręce i nogi zdrętwiały mu z zimna. Łódź była zanurzona głęboko, woda wciąż wlewała się do wnętrza. Próbowali bezustannie wylewać ją gołymi rękami.

- Doktorze, teraz wiem, dlaczego prezydent wyznaczył pana do wykonania tego zadania. Powinien pan zostać dowódcą liniowym.

- Wojna, komandorze, to beznadziejnie głupia rzecz, ale ktoś musi walczyć, skoro trzeba... - odparł zmęczonym głosem.

Wstrząsnęły nim dreszcze. Gundersen zajął się teraz swoją załogą.

- Kto wydał wam rozkaz strzelania w stronę lądu? Powinien za to dostać kulę w łeb lub odznaczenie bojowe.

- Ja to zrobiłam, komandorze. - Natalia trzymała w dłoniach M-16, a półprzytomny ze strachu marynarz chwycił się kurczowo relingu.

- Jeśli doktor uważa, że to było konieczne, postawię wam drinka, major Tiemerowna!

Gundersen zajął się teraz okrętem:

- Zabezpieczyć broń pokładową. Przygotować się do zanurzenia!

Rourke ruszył w stronę włazu, dziwiąc się, że jeszcze może chodzić o własnych siłach.

ROZDZIAŁ XLVIII

„Drink” okazał się szklanką soku pomarańczowego, Natalia siedziała w mesie oficerskiej obok Rourke’a. Czuł, że szuka jego ręki pod kocem, którym był owinięty. Pił małymi łykami gorącą kawę, przyjemnie rozgrzewającą ciało. Wszedł Gundersen, zdjął oficerską czapkę i położył ją na stoliku.

- Doktor Milton twierdzi, że Paul wyjdzie z tego. Rubenstein pamięta, że gdy rzucił się na dzikusa, który przewrócił łódź, dostał maczetą w głowę. Milton uważa, że to nic poważnego, ale potrzyma go w koi przez dwadzieścia cztery godziny, na wypadek gdyby okazało się, że ma wstrząs mózgu. Powiedział, żeby pan nie martwił się o przyjaciela.

- Paul potrzebuje spokoju - odparł John.

- Sanitariusz Kelly opatruje teraz rany lżej poszkodowanych. Milton ma trudniejsze zadanie do wykonania. Ci ukrzyżowani żołnierze mają wiele drobnych ran ciętych, klutych i zadrapań. Poważniej wygląda sprawa z człowiekiem Cole’a, który ma strzaskane kolano i nieprędko będzie zdolny do walki. Powinien jednak być wdzięczny Milionowi, że zabrał się we właściwy sposób do tego kolana.

Rourke pokiwał głową. Rzucił spojrzenie w najdalszy kąt mesy, gdzie siedział Cole z filiżanką kawy w dłoniach.

- Panowie, major Tiemerowna - rozpoczął Gundersen. - Zamierzamy dokonać penetracji terenu w innym miejscu. Zapasy pocisków do nowych wyrzutni są praktycznie na wyczerpaniu. Ich zdobycie jest teraz najważniejszym zadaniem. Wiemy przecież, że siła ognia broni ręcznej nie zastąpi artylerii pokładowej. W ostatniej akcji straciliśmy sześciu ludzi, a czternastu jest rannych.

- A co zrobimy z naszymi jeńcami?

- Czy wiecie, że poprzecinali sobie żyły? Milton był bliski uratowania jednego z nich, ale nastąpił zbyt duży upływ krwi. Im nie zależy na życiu. Zresztą, zauważyliście to podczas walki. Kiedyś opowiadano mi o podobnej sekcji w Korei.

Rourke próbował zapalić cygaro swoją zapalniczką, ale nie wyschła jeszcze od długiej kąpieli. Sięgnął więc po zapalki leżące na stole.

- Czy doktor Milton próbował sprawdzić poziom napromieniowania ich ciał? - zapytał.

Gundersen skinął głową.

- Pomyślał o tym. Zastanawiałem się nawet, czy właśnie nie w tym tkwi przyczyna ich depresji. Być może gardzą śmiercią, zdając sobie sprawę z jej nieuchronnego nadejścia. Milton dokonał sekcji zwłok jednego z tych ludzi. W jego żołądku stwierdził obecność orzechów, jagód i innych owoców. Ten człowiek miał zdrowy organizm, przynajmniej pod względem fizycznym.

- Musimy zdobyć te główce, choćbyśmy mieli znaleźć się jeszcze raz wśród tych diabłów -

rozległ się stłumiony głos Cole'a.

- Barbarzyńcy - odezwał się John. - Cywilizowani ludzie stali się barbarzyńcami w ciągu krótkiego czasu. Zaszczepiono im jakąś prymitywną religię. Wrzeszczeli bez końca: „Zabić niewiernych.” Na pół cywilizowani, na pół dzicy. I ten ich pomysł z krzyżowaniem i paleniem ludzi...

- Sądzę, że istnieje jakiś inicjator, który zorganizował to wszystko, wykorzystując grupę ludzi, która przedtem wyznawała jakiś kult religijny.

- W Kalifornii istniało wiele zwariowanych kultów - odezwała się Natalia. - Jeszcze przed wybuchem wojny

KGB starało się przeniknąć do nich, być może w celu wykorzystania ich do szerzenia zamętu w społeczeństwie USA. Władimir...

- Władimir? - zapytał Gundersen.

- Mój nieżyjący mąż wierzył, że jeśli mieszkańcy Stanów będą bali się wychodzić z własnych domów, będą drżeli ze strachu we własnych łóżkach, to łatwiej będzie ich pokonać. Wysłano pewną liczbę agentów i być może...

Przerwała opowiadanie. Rourke spoglądał na nią w milczeniu, uderzając palcami w stół. Przesunął cygaro w lewy kącik ust.

- Wszystko to można sprawdzić - powiedział. - Trzeba wysłać mały, ale dobrze uzbrojony oddział, który dotrze do bazy w Filmore. Jeśli przebywa tam grupa normalnych ludzi, to pomogą nam na pewno, o ile nie są oblegani przez tych dzikusów. Powinien ocaleć jakiś personel ukryty w schronach i posiadający sprzęt stwarzający szansę na przetrwanie. Mam nadzieję, na miłość boską, że ocalał Armand Teal, oficer Sił Powietrznych, który również znał doskonale taktykę walki lądowej. Mógłby nam pomóc zdobyć te głowice.

Przerwał na chwilę i popatrzył na Gundersena.

- Muszę splukać z siebie słoną wodę. Potem idę spać. Nie jestem dziś w stanie nawet kiwnąć palcem. Jeśli pan znajdzie jakieś wąskie przejście, to może uda się nam prześlizgnąć obok tej chmary dzikusów.

- Szaleńcy odziani w skóry, to niewiarygodne - westchnął komandor.

- Ludzie się boją - odezwała się Natalia. - Strach prowadzi do niesamowitych czynów. Podczas II wojny światowej ludzie wydawali na śmierć przyjaciół i członków swoich rodzin. Bali się śmierci głodowej i jedli ludzkie ekskrementy, aby przeżyć.

- To prawda - potwierdził Rourke. - To jest istota kultu religijnego. Wierny musi poświęcić rodzinę, stać się posłusznym zbiorowości, która jednocześnie chroni go w pewien sposób. Po wybuchu wojny, osobnicy nie należący do takiego ugrupowania religijnego, stali się jego wrogami, czyli niewiernymi. Tak nas nazywano. Albo wstąpisz w ich szeregi, albo umrzesz. Kto zaś ulegnie w walce, ale żyje nadal, staje się w ich pojęciu wielkim grzesznikiem.

- Ale ten brak instynktu samozachowawczego... - wtrącił Gundersen.

- Wikingowie, przynajmniej niektórzy z nich, podpalali swoje brody, kiedy ruszali do ataku, okazując w ten sposób pogardę dla bólu. Ich obsesja zabicia wroga była większa niż troska o własne życie. Ci ludzie są podobni.

Gundersen na chwilę skrył twarz w dłoniach, a potem odezwał się cicho, patrząc na Rourke'a i Natalię:

- I do tego wszystkiego doprowadziła nasza technika?

- Pierwszy był Einstein - zauważyła Natalia.

- On to rozpoczął - powiedział John. - Kiedy zapytano go pewnego razu, jaki rodzaj broni zostanie użyty podczas III wojny światowej, odpowiedział, że nie ma pojęcia. Dodał jednak, że uzbrojenie w IV wojnie będą stanowiły kamienie i maczugi.

Poczuł, jak Natalia przyciska mocniej dłoń do jego uda. Przymknął oczy i podparł głowę rękami.

- Nadeszły czarne dni dla ludzkości - wyszeptał sennie.

ROZDZIAŁ XLIX

Sarah Rourke otworzyła oczy i spojrzała na zegarek zabrany jednemu z bandytów na farmie Mullinera. Był to Tudor; pasek był trochę za długi na jej przegub, ale przypominał jej bardzo Rolex, którego nosił John. Minęła właśnie dziesiąta rano.

- O, jak długo spałam - westchnęła.

Usiadła, przeciągnęła się i spojrzała na pole namiotowe. Znajdowała się w obozie uchodźców a jednocześnie partyzantów, których dowódcą był David Balfry. Sięgnęła do plecaka i wyciągając jego zawartość, znalazła w końcu czystą sukienkę i komplet bielizny.

Mary Mulliner ciągle spała. Droga, którą przebyli, była ciężka dla kobiety, nie mówiąc o dzieciach.

Postanowiła znaleźć jakiś prysznic. Nie miała ręcznika, ale to nie było ważne. Marzyła tylko, aby się umyć. Zgarnęła swoje rzeczy w jedno miejsce, włożyła tenisówki i wyszła z namiotu. Uświadomiła sobie nagle, że ma u boku Trappera 45, ofiarowanego jej przez Billa Mullinera. W obozie jakby zapomniała o tej broni. Szła wśród namiotów, słysząc śmiechy bawiących się dzieci. Trzeba odnaleźć najpierw swoje pociechy i Millie Jenkins. Na głównej ulicy mijała rannych i okaleczonych wewnętrznie ludzi. W ich oczach nie dostrzegła żadnej nadziei i chęci życia.

Na końcu obozu znajdowała się biała „zagroda”, gdzie bawiły się dzieci. Była tam Annie i Millie Jenkins oraz ponad dwa tuziny innej dziatwy siedzącej na ziemi. Kilka starszych, kilkunastoletnich dziewczynek opowiadało coś młodszym dzieciom, które raz po raz wybuchały śmiechem.

Przystanęła, nie chcąc przeszkadzać córce, śpiewającej wraz z innymi. To była pieśń religijna. Jej melodia była spokojna, a słowa mówiły o wielkiej miłości Jezusa do małych dzieci.

Sarah przyglądała się uważnie wszystkim twarzom, ale nie dostrzegła nigdzie Michaela.

- Jestem tutaj - usłyszała i odwróciła się zaskoczona. Syn siedział za kierownicą starego, brudnego volkswagena z pogniecioną karoserią.

- Co tutaj robisz, Michael?

Spojrzał na matkę z uśmiechem, którego już tak dawno nie widziała. Stał się dorosły, zabijał ludzi ratując życie matki i siostry. Był już prawdziwym mężczyzną.

- Może to głupie, ale bawię się, mamo.

- Zabawa nie jest głupią rzeczą - powiedziała, podchodząc do samochodu.

Wsiadła do środka i zajęła miejsce obok niego.

- W moim przypadku to głupia rzecz, a wiesz dlaczego?

- Nie wiem. Powiedz mi dlaczego?

- Wiesz, dobrze wiesz.

- Nie mam pojęcia. Myślę, że jesteś nadal małym chłopcem, chociaż niedługo staniesz się dorosłym mężczyzną. Ale nie krępuj się, jeśli czujesz się jeszcze dzieckiem.

- Nie o to chodzi - powiedział cicho, wpatrując się w matkę.

Objęła go ramieniem i przytuliła. Uświadomiła sobie, że umarł w nim na zawsze mały chłopiec. Zaczęła szlochać i mocniej przycisnęła go do siebie.

ROZDZIAŁ L

Pułkownik Roźdiestwieński kazał kierowcy zatrzymać elektryczny samochód i wysiadł z niego powoli. Ogrom pomieszczenia wprowadził go w zdumienie. „Łono”. Wokół krzatali się ludzie, przenosząc urządzenia, broń, amunicję oraz zapasy żywności. Na końcu długiej jaskini pułkownik zauważył wiele dużych skrzyń o kształtach podobnych do trumien. Transportowano je ostrożnie za pomocą widłowych podnośników.

„Jeśli pozwoli na to czas, przeniesiemy ich dwa tysiące” - pomyślał. Pierwsza setka została już rozpakowana i podłączona do instalacji kontrolnej. W tej chwili sprawdzano niezawodność każdej sztuki; wiele od tego zależało. Szumiały elektryczne generatory, umieszczone na ciężarówkach zasilanych propanem.

- Towarzyszu pułkowniku...

Spojrzał na swojego kierowcę, ale myślami był gdzie indziej.

„Przyszłość jest tutaj” - powiedział do siebie. „Łono” - uśmiechnął się, powtarzając parokrotnie tę dziwną nazwę najważniejszej operacji strategicznej w dziejach ludzkości.

- „Łono”...

- Słucham was, towarzyszu pułkowniku?

- Jedziemy! - wsiadł do samochodu i przymknął oczy.

ROZDZIAŁ LI

Rourke wraz z okrętowym rusznikarzem czyścili broń, skąpała się przecież w słonej wodzie. Rozebrali też na części pistolety Rubensteina. Rusznikarz zajął się niemieckim pistoletem maszynowym MP-40, który był przestarzałym modelem broni. John miał przed sobą na stole Pythona, dwa Detonics'y i CAR-15. Wszystkie części zostały nasmarowane, złożone dokładnie; przygotowano też pełne magazynki. Doktor zakonserwował także swoje buty i wszystkie skórzane przedmioty, stanowiące jego wyposażenie. Na końcu zajął się nożem. Naostrzył go na osełce nasączonej olejem - uważał, że jest to najbardziej skuteczny środek ochronny.

Zaczął myśleć o kapitanie Cole'u; zuchwałym, a jednocześnie tchórzliwym. Na pewno był to człowiek, który chciał działać samodzielnie i szybko awansować. Przypomniawszy sobie dziwne słowa umierającego żołnierza: „Cole nie jest tym człowiekiem, za jakiego się podaje”. Ludzie stojący w obliczu śmierci mówią na ogół prawdę. Cokolwiek zamierza, póki co, udało mu się stworzyć pozory, że działa dla dobra sprawy. „W co on gra?” - zapytał sam siebie John.

Sprawdził jeszcze raz magazynki Detonics'ów. Przygotowali z rusznikarzem spory zapas amunicji. Pomyślał, że kiedy skończy się ta wojna, znajdzie bezpieczne miejsce, w którym będzie można jako tako żyć. Sprowadzi tam Sarah, Annie i Michaela, Natalię... Tak, Natalię również. I Paula Rubensteina.

Był człowiekiem, który zwykle działał samotnie. Miał żonę i dwoje dzieci. Teraz miał jeszcze jedną, kochającą go kobietę. Paul jest przyjacielem wierniejszym od rodzzonego brata. Był ranny w głowę, ale na szczęście, to nic poważnego.

Za parę godzin łódź podwodna powinna się wynurzyć. Wtedy Rourke, Paul i Cole wraz z grupą desantową wyruszą w głąb lądu i być może dotrą do Bazy Wojsk Lotniczych w Filmore, gdzie powinny znajdować się główce pocisków. Nie jest wykluczone, że napotkają na swojej drodze dzikich i znów będą musieli walczyć. Natalia już raz była bliska śmierci. Paul doznał urazu głowy podczas ostatniej bitwy. Rourke miał wyrzuty sumienia, że nie zapobiegł tym wydarzeniom.

Niebo czerwieniało z dnia na dzień. Codziennie po wschodzie słońca słychać było łoskot piorunów. John postanowił, że jak już będzie z żoną i dziećmi w jakiejś bezpiecznej kryjówce, to zajmie się studiowaniem tych anomalii pogodowych i poszuka środków zapobiegających im.

Spojrzał na swojego Rolexa. Już czas! Tylko czas pozostał niezmienny.

ROZDZIAŁ LII

Dwa ostatnie raporty zdenerwowały go bardzo. Z trudem wciągnął na nogi długie, wojskowe buty i zerwał się z fotela. „Generał Ismael Warakow - Naczelnny Dowódca Północnej Armii Okupacyjnej w Ameryce” - głosił napis na biurku ustawionym w hallu Muzeum Historii Naturalnej w Chicago, który zamieniono na kwaterę generała.

- „Naczelnny Dowódca” - mruknął. - Gdybym był rzeczywiście „naczelnym”, nie otrzymałbym takiego raportu.

Ruszył w kierunku schodów prowadzących na półpiętro, z którego można było ogarnąć wzrokiem cały hall.

Pierwszy raport zawierał dodatkowe dane o amerykańskim planie „Eden” i przedstawiał scenariusz działań po zagładzie atomowej. Warakow zastanawiał się, czy byłby zdolny do wykonania tego paskudnego zadania dla dobra sprawy.

Gdzie jest Natalia? Wysłał ją z tym Żydem Rubensteinem, do Rourke’a. Mieli mu wręczyć pewne pismo.

Wszedł na schody. Bolały go stopy uwięzione w za małych butach. Podrapał się po brzuchu. Natalia i młody Żyd zostali zrzućeni na spadochronach w pobliżu jego kryjówki. Być może Amerykanin nie zjawi się tutaj. Rzekomo pragnie najpierw odszukać żonę i dzieci. Ale z pewnością taki człowiek jak on nie zignoruje listu. Możliwe również, że już nie żyje. Co zrobiłaby w tym przypadku Natalia? Powinna powrócić z tym amerykańskim Żydem po nowe instrukcje.

Warakow przystanął na półpiętrze nieco zdyszany.

- A jeśli oni wszyscy nie żyją? Rourke, Rubenstein i Natalia? Co w tym wypadku mam robić? - pytał półgłosem sam siebie.

- Towarzyszu generale... - zabrzmiał łagodny i nieśmiały głos.

Odwrócił się.

- Słucham, Katarzyno.

- Towarzyszu generale, te dokumenty powinny być przez pana podpisane - powiedziała dziewczyna.

- Hm - mruknął i odwróciwszy się do niej plecami, przyglądał się szkieletom mastodontów, stojących na środku wielkiego pomieszczenia.

- Niedługo będziemy wyglądać tak jak one, Katarzyno.

- Towarzyszu generale - odważyła się znowu, przerywając długą chwilę ciszy. - Jeśli mi wolno zapytać, co was tak gnębi?

Nie spojrzał na nią.

- Katarzyno. Pierwszy raport zawiera dane, które mnie niepokoją. Mówi on o niebezpieczeństwie, grożącym naszym organizmom po tym wszystkim, co się stało. Drugi donosi, że KGB gromadzi surowce, sprzęt i wszystko, co nam się może przydać. Jeden z naszych konwojów został zaatakowany przez amerykańskich bandytów niedaleko Nashville. Znajduje się tam wielkie zgrupowanie ludzi, które Roźdiestwieński chce zniszczyć. Sprzeciwiam się temu, gdyż w tym obozie przebywa wiele kobiet i dzieci. Ale on nie liczy się z moim zdaniem.

Zajrzał w jej wyrozumiałe oczy.

- Katarzyno, do tej pory nigdy nie czułem się zagrożony.

A teraz... przygotuj dla mnie filiżankę kawy, dziecko.

Schodził w dół, trzymając się poręczy i słuchając stukotu jej obcasów. Nie patrząc na szkielety mastodontów, myślał ponuro o tym, że już niedługo będzie o wiele więcej szkieletów, ale ludzkich.

ROZDZIAŁ LIII

Stwierdziła, że Jacob Steel jest utalentowanym kaznodzieją. Gorzej spisywał się jako lekarz.

- Zrobię ten opatrunek. - Sarah odsunęła go delikatnie i pochyliła się nad rannym.

Steel stał obok w białym kitlu, a szare włosy opadały mu na czoło.

- Zauważyła pani chyba, że jestem amatorem. Uchylałem się od służby wojskowej ze względu na moje przekonania religijne i odkomenderowano mnie do cywilnej służby medycznej. Tam nauczyłem się trochę. Większość moich asystentów bardzo prędko poznawała się na moich „lekarskich umiejętnościach”.

Uśmiechnęła się, kończąc zawiązywanie bandaża.

- Jestem z natury wyrozumiała, pastorze.

- Hm, widzę, że zna się pani na tej robocie. Pani mąż jest lekarzem? - zapytał i zbliżył się do następnego pacjenta, nie czekając na jej odpowiedź.

Wstała i podeszła do Steela.

- Tak - powiedziała.

- Co, tak?

- Mój mąż jest lekarzem.

Steel podniósł na chwilę głowę, a potem znów skierował wzrok na leżącą pacjentkę. Poparzenia na ciele tej kobiety źle się goiły.

- Czy opatrunki są sterylne? - spojrzał na Sarah spod okularów.

Uśmiechnęła się.

- Co za dziwne pytanie - odparła.

- Rzeczywiście pani Rourke, to było niemądre pytanie.

Wokół nas nie ma nic sterylnego, z wyjątkiem mojej osoby. Złapałem świnkę od mojej córki, ale to było pięć lat temu.

- A ile ona ma teraz lat? - wyrwało się jej.

- Cała moja rodzina nie żyje: żona, córka i dwóch synów. Nasz dom nie istnieje. Nie był to zresztą nasz dom, gdyż należał do kościoła, który również został zrównany z ziemią. Nie było mnie w Chattanooga, kiedy zrzucano tam bombę.

- To straszne - powiedziała cicho.

- Paliło się tam wszystko. Powiadają, że najpierw zapalił się garaż przy domu znajdującym się naprzeciw kościoła. Potem to piekło ruszyło wzdłuż ulicy, gnane silnym wichrem. Kościół i dom zniknęły błyskawicznie jak tekturowe pudełka wrzucone do pieca. Wszyscy zginęli...

- Jest mi...

- Jest pani przykro - przerwał jej - i wiem, że mówi to pani szczerze. Ale wkrótce nie będziemy w stanie współczuć tym wszystkim, którzy będą tego potrzebowali.

Pastor Steel zakrył kocem twarz leżącej przed nim kobiety.

- Tak bardzo są nam potrzebne sterylne opatrunki - westchnął.

Sarah Rourke podniosła ostrożnie koc i zamknęła powieki zmarłej.

ROZDZIAŁ LIV

Rourke usłyszał pukanie i uniósł głowę.

- Proszę wejść.

W drzwiach stanął Gundersen.

- Czy moglibyśmy porozmawiać, doktorze? - zapytał.

- Chwileczkę - odparł Rourke - tylko skończę się ubierać. Wstał i poszedł po swoje wojskowe buty. Usiadł, założył je i zaczął zawiązywać.

- O czym chciałby pan porozmawiać?

- O paru sprawach. Czy wie pan, że major Tiemerowna upiera się, aby wziąć udział w wyprawie?

- Jest jeszcze zbyt słaba - pokręcił głową. - Poza tym, to jest bardzo niebezpieczna eskapada.

- Pozwoliłem jej.

- To fatalnie! - podniósł głos Rourke.

- Nie miało dla mnie do tej pory znaczenia, że jest ona Rosjanką. Chyba nie zrobiła nic, co by naraziło pana na niebezpieczeństwo, doktorze. Czy jednak nie obudzi się w niej poczucie obowiązku wobec ZSRR, kiedy odnajdziecie te głowice? Czy pozostanie panu tak oddana, jak dzisiaj? W każdym razie ktoś musi czuwać nad pańskim bezpieczeństwem.

- Porucznik O'Neal to czujny człowiek. Będzie przy mnie również mój przyjaciel, Paul.

- No, dobra - Gundersen uśmiechnął się. - Dostanie pan również Cole'a i jego ludzi. On zamierza zabić pana, gdy tylko dostaniecie te pociski. Jest pan bystrym człowiekiem, ale odnoszę wrażenie, jakby nie zauważał pan jego zamiarów.

- Wiem od dawna, o co mu chodzi - powiedział z uśmiechem na twarzy, spoglądając na czubki butów.

Podszedł do koi i wciągnął na siebie przygotowaną wcześniej koszulę.

- Rozmawialiśmy wiele z Rubensteinem i major Tiemerowną. Twierdzą, że nikt lepiej od pana nie posługuje się bronią palną i nożem - zagadnął komandor.

- Przesadzają... - machnął ręką Rourke.

- A jednak takich trzech jak pan, to jak jeden oddział...

- Przejdźmy do sedna sprawy - przerwał mu doktor. - Natalia wyruszy z nami. Będziemy szli wolno, tylko parę mil w ciągu dnia. Głowice czekały tak długo, mogą poczekać jeszcze trochę. Natalia nienawidzi Cole'a i chętnie by go zabiła. Powód? Chciał ją przymknąć w areszcie. Spoliczkował ją, a ona w rewanżu dała mu w szczękę. Potrafiła poradzić sobie z połową pańskiej załogi. To najbardziej odważna kobieta, jaką kiedykolwiek spotkałem. Łączy w sobie umiejętność

walki ze zdolnością dowodzenia. Posiada silną osobowość i potrafi szybko podejmować trafną decyzję.

- I to wtedy jeden z jego ludzi postrzelił ją?

- Tak - odparł Rourke przez zaciśnięte zęby.

- Zwrócę jej broń. Jeśli pan chce ją zabrać, to pańska sprawa. Niech pan jednak porozmawia z nią jeszcze na osobności - powiedział komandor patrząc w podłogę. Podniósł głowę i kontynuował: - Kapitan Cole posiada rozkazy podpisane przez prezydenta Chambersa. Natalia zaś jest w dalszym ciągu agentem KGB. Prowadzimy wojnę z Rosją. Chociaż to może wydać się śmieszne, ale ufam jej bardziej niż Cole'owi.

- Jeden z jego ludzi... - zaczął Rourke i zaraz przerwał. Wstał i wsunął koszulę do spodni, a następnie zapiął pas. Założył na siebie „uprząż wojenną”. Uniósł ręce w górę i poprawił kabury pod pachami. Podniósł ze stołu jeden z Detonics'ów i zarepetował go, wprowadzając nabój do komory zamkowej. Wsunął pistolet do kabury.

- Jeden z jego ludzi - zaczął jeszcze raz - powiedział mi tuż przed śmiercią, że Cole nie jest tym, za kogo się podaje.

Powtórzył całą operację z drugim pistoletem, umieszczając go w pustej kaburze.

- Czyżby to były sfałszowane dokumenty, pomimo że podpis Sama Chambersa wydaje się na nich autentyczny? - zastanawiał się Gundersen. - Tiemerowna mogłaby pomóc nam w ustaleniu, kim on jest.

- Myślę, że od chwili, kiedy zaczęła mi pomagać, nie ukrywałaby prawdy, gdyby ją знаła.

- Chce pan przez to powiedzieć, że jeśli Cole jest komunistą, to ona o tym wie?

- Natalia to człowiek KGB. Istnieje jeszcze GRU, sowiecki superwywiad wojskowy. A może to członek jakiejś jeszcze innej organizacji kierowanej przez Kreml? Nie mogę zrozumieć, dlaczego Sowietom chcą wykorzystać amerykańską łódź podwodną do wykonania tego zadania? Dlaczego nie chcą polegać na oddziałach lądowych?

- Może chcą wystrzelić te pociski na terytorium Chin i użyć nas jako odpowiedni środek transportowy. Ale Chińczycy nie wyłapią radarami pocisków dalekiego zasięgu wystrzelonych z bliskiej odległości. Czteryście osiemdziesiąt megaton potrafi zniszczyć całkowicie ogromne miasto, lecz to za mało, żeby powstrzymać Chińczyków. Spędzają oni Rosjanom sen z powiek, jednak taki plan uważam za nierozsądny. Próbuje nawiązać łączność z U.S.II, ale zakłócenia w górnych warstwach atmosfery są za silne, aby przedarły się przez nie fale naszych nadajników. Niech pan powie tylko jedno słowo, doktorze, a każę zakuć Cole'a w dyby.

Rourke wybuchnął śmiechem i włożył nóż do pochwy przy pasie.

- Naprawdę ma pan jeszcze dyby na pokładzie?

- Nie, do diabła - Gundersen śmiał się również. - To była tylko przenośnia. W każdym razie, czy mamy wziąć się za niego?

- Nie... Cole jest ambitniakiem, a może komunistą lub jeszcze kimś innym. Ale nigdy nie dowiemy się, co on zamierza, jeśli nie będziemy z nim grać do końca.

- Gra pan dużo w pokera, doktorze?

- Grywałem sporo z moimi dziećmi, ale one zawsze wygrywały ze mną - odparł John.

- Słyszałem tę kwestię w jakimś westernie. Sądzę, że pokrzyżuje pan plany Cole'a. Ten facet wie, co robi. Już raz zostawił swoich ludzi na pastwę losu. Próbowaliście ich potem ratować z Rubensteinem. On pojawił się akurat w ostatniej chwili przed odpłynięciem łodzi. Będzie chciał za

wszelką cenę dotrzeć do tych pocisków.

- Jestem jedynym człowiekiem, którego zna Armand Teal. Cole nie może mi nic zrobić, zanim nie dotrzemy do bazy Filmore i nie znajdziemy żywego Teala. Do tej chwili będę bezpieczny, nie licząc ewentualnego ataku dzikich.

Gundersen wstał z krzesła.

- Teraz wiem, dlaczego Natalia chce czuwać nad panem.

- Nie chcę jej narażać, a poza tym jest po operacji...

- Powiedział pan niedawno, że jej rana zabił ją całkowicie, a Natalia jest zdrowa i sprawna fizycznie.

Rourke oblizał wargi i dotknął kabury Pythona. Gundersen wyszedł. Doktor spojrzął w lustro i zobaczył w nim faceta z trzema splotkami i nożem u boku.

To uzbrojenie powinno wystarczyć na kolejną, niebezpieczną wyprawę.

ROZDZIAŁ LV

John popatrzył na wodę. Łódź znajdowała się na powierzchni. Mogła się zanurzyć i dopłynąć z powrotem do miejsca, gdzie stoczono poprzednią bitwę z dzikimi. On i Gundersen mieli nadzieję, że ten manewr wprowadzi w błąd ich przeciwników, którzy pomyślą, że okręt odpłynął gdzieś dalej. Z kieszeni kurtki wydobyl ciemne, lotnicze okulary. Wyplul niedopałek cygara.

- Jest pan gotów, doktorze? - rozległ się głos Cole'a.

Obok kapitana stała Natalia. Jej niebieskie oczy kontrastowały z wyjątkowo dziś bladą twarzą. Patrzeli na niego wszyscy: Cole, Rubenstein i Natalia. Rourke również lustrował przez chwilę towarzyszy tej piekielnie trudnej wyprawy.

- Tak, jestem gotów - powiedział spokojnie.

Schylił się i podniósł z ziemi plecak. Poprawił pasy opinające lotniczą kurtkę.

- Idziemy na północ! - głos Cole'a zabrzmiał jak komenda.

John spojrzal na niego z zimnym błyskiem w oczach, a następnie ruszył naprzód, z Natalią i Pauliem po obu stronach. Plecak Natalii nie był zbyt ciężki, ale zdawał sobie sprawę, że jego przyjaciele mogą prędko stracić siły.

- Na północ - usłyszał nad uchem szept Cole'a. Przystanął i rzucił mu przez zęby!

- Tak, na północ.

ROZDZIAŁ LVI

David Balfry spojrział na nią zza biurka jakby przestraszony. Pomyślała przez chwilę, że coś tutaj nie gra. Przecież sam posłał po nią. Zapukała do drzwi jego pokoju na farmie i nacisnęła klamkę dopiero wtedy, gdy usłyszała: „Wejdz, Sarah”. Zatrzymała się przed jego biurkiem, wstydząc się nagle swojego wyglądu. Ściągnęła z głowy czepek, który sporządziła z bandażu. Potrząsnęła głową, rozrzucając włosy.

- Siadaj - powiedział z uśmiechem, już opanowany.

- Mam wiadomości o twoim mężu. Zerwała się z krzesła.

- Gdzie jest? Czy wszystko w porządku?

- Nie wiem dokładnie, ale chyba nie ma powodu, aby się martwić. Zresztą teraz trudno określić, kto z nas jest w porządku, a kto nie.

- Ale czego się dowiedziałeś?

- Około trzech tygodni temu twój mąż opuścił kwaterę główną U.S.II, jeszcze przed jej przeniesieniem na tereny Teksasu i Luizjany. Był z nim młody facet o nazwisku Paul Rubenstein. Wygląda na to, że trzymali się razem od nocy, w której wybuchła wojna. Ktoś jeszcze towarzyszył twojemu mężowi.

- Kto?

- Rosjanka. Kobieta w randze majora KGB. Natalia... - Balfry spojrział w papiery leżące na biurku. - Natalia Tiemerowna. Drugie imię - Anastazja. Jej mąż był szefem KGB działającym w Ameryce, a twój John zastrzelił go kiedyś w pojedynku ulicznym, w Georgii. Nasz wywiad ustalił, że widziano ją w Chicago w Sowieckiej Kwaterze Głównej Północnej Armii Okupacyjnej w Ameryce.

- Przeczuwałam, że... - Sarah skłoniła głowę.

- Widziano ją w Chicago, była tam sama. Potem przepadła jak kamień w wodę. Być może jest znowu u boku twego męża.

Sarah patrzyła w okno.

- Rosyjska kobieta - szepnęła.

Balfry studiował uważnie jakiś dokument.

- Nie ma pewności, że doktor Rourke żyje...

- Co takiego? - Nie była pewna, czy się nie przesłyszała.

- Posłuchaj. Jesteś piękną kobietą. Kto wie, jak długo każde z nas pozostanie samotne.

Wstał z krzesła, które zatrzeszczało i podszedł prosto do niej.

- Sarah... - Jego twarz była tak blisko. Balfry ukląkł przed nią i położył ręce na jej udach. - Sarah, on na pewno uważa, że ty i dzieci nie żyjecie. Zrobił to, co zrobiłby każdy normalny mężczyzna -

znalazł sobie kogoś. Tę Rosjankę. Gdyby chciał wrócić do ciebie, to by cię szukał, gdzie tylko się da. Ale nie robi tego.

Spojrzała mu prosto w oczy.

- Chcę zaraz stąd wyjść.

Zerwała się i ruszyła do drzwi. Poczowała jego silne ręce na ramionach. Odwrócił ją do siebie.

- Sarah! - Oplótł ją ramionami i przycisnął do siebie. Czuła jego oddech i zapach ubrania przesiąkniętego dymem fajkowym. Jego ręce dotknęły jej twarzy. Lekko otwarte usta zbliżyły się do jej ust. Miał wilgotne wargi. Dysponował siłą, która kruszyła jej opór. Zarzuciła mu ręce na szyję, przycisnęła głowę do jego piersi.

- Jesteś kobietą. Potrzebujesz mężczyzny, który by się tobą opiekował. Pozwól, żebym nim był - usłyszała jego szept. - Jesteś taka dzielna, niewielu mężczyzn dokonałoby tego, co ty już uczyniłaś. Teraz jesteś samotna i...

Wyrwała się z jego objęć i ruszyła w stronę drzwi. Jej ręka szukała klamki.

- Samotna kobieta?! - wrzasnęła. - A cóż - do diabła - w tym złego, że jestem samotną kobietą?! Czy nie stawałam oko w oko ze śmiercią? Czy nie zabiłabym swoich dzieci, gdyby nie było innego wyjścia? Jest ta Rosjanka - nie szkodzi. Ale on szuka mnie nadal i ja jego również. Jeśli nawet ta Natalia, czy jak jej tam, jest z nim teraz, to co z tego? John mi o niej wszystko opowie. A jeśli nawet nie spotkam więcej mojego męża, to co? Mam się rzucić w twoje opiekuńcze ramiona?

Znalazła wreszcie klamkę. Szarpnęła nią gwałtownie.

- Co się stało? - zapytał drżącym ze zdenerwowania głosem.

- Idź do diabła! - powiedziała na pożegnanie i wybiegła z budynku.

ROZDZIAŁ LVII

Czuła, że traci siły z minuty na minutę.

- Czy możesz wziąć mój plecak? - Zwróciła się do Rubensteina. Przystanęła, ocierając pot z bladej twarzy.

- Natalio, wszystko w porządku? - zapytał zaniepokojony Rourke.

- Oczywiście, że nie. To był głupi pomysł, żeby zabierać ranną kobietę na tak długi marsz! - wybuchnął Cole.

Patrzyła na Johna. Wypluł niedopałek cygara. Miał śnieżnobiałe zęby, mimo że dużo palił.

- Nie przejmuj się, jeszcze mogę...

- Wiem, że możesz - powiedział przez zaciśnięte zęby. Odwrócił się do stojącego za nim Cole'a i powoli zaczął zdejmować plecak.

- Będę niósł twój plecak, Natalio. Mam jeszcze dosyć sił - oświadczył Rubenstein. - Mogę też...

- Nie - przerwał Rourke. - Odpocznijemy tutaj. Niech nikt nie zapala latarki, jasne?

Natalia patrzyła z ufnością na jego sprężystą postać.

- Posłuchaj, Cole. Pozostał nam jeden dzień marszu do bazy Filmore i nie chciałbym, aby to był jeszcze jeden dzień twojego gładzenia.

Cole stał przez chwilę bez ruchu. Wreszcie wzruszył ramionami i powiedział spokojnie:

- Tak, to niedobrze, że masz coś do mnie.

Rourke rozpiął zamek błyskawiczny lotniczej kurtki.

- Przypuszczałem, że to powiesz. - Patrzył w twarz kapitana.

- Co takiego?

- Właśnie to, co wreszcie z siebie wyrzygałeś.

- Daj spokój, John - złapała go za rękę Natalia.

- Nie, John musi to załatwić teraz - wtrącił się Rubenstein.

- A więc szukasz zaczepki, Rourke? - Cole wybuchnął sztucznym śmiechem.

- Tak - skinął głową.

- Sam tego chciałeś. Widzę, że zamierzasz się pozbyć kurtki i pistoletów.

- Nie będę potrzebował broni do czegoś, co będzie trwało tylko chwilę.

- Zaciekawiasz mnie - uśmiezek nie zniknął z twarzy Cole'a.

Rourke, nic nie mówiąc, ruszył wolno na niego.

- John! - wykrzyknął Rubenstein.

- Wiem. - Doktor zbliżał się do Cole'a. - Następnym razem to ty będziesz miał okazję...

Zatrzymał się tuż przed pierśnią kapitana. Major Tiemerowna zacisnęła dłoń na rękojeści M-16.

- Rourke, przecież mamy wspólny interes...
- Zamknij się!
- Niech cię piekło!...

Natalia zobaczyła szybki ruch kapitana i jego prawą pięść przygotowaną do zadania ciosu. Rourke zrobił krok do tyłu, wykonując jednocześnie półobrót. Ręka Cole'a wystrzeliła do przodu, ale w tej samej chwili jego przeciwnik uniósł stopę i z szybkością błyskawicy ugodził go w środek klatki piersiowej, a potem jeszcze raz, w okolicę serca. Kapitan upadł na ziemię. John wykonał pełen obrót, kopnął go ponownie w klatkę piersiową i dołożył jeszcze w twarz. Nie spojrzawszy na pokonanego, ruszył w stronę Natalii.

Porucznik O'Neal usiłował stłumić śmiech, ale nie bardzo mu się to udało i chichotał, zakrywając usta rękami.

ROZDZIAŁ LVIII

- Coś się stało, mamó? - Michael siedział w swoim volkswagenie i przyglądał się jej uważnie.
- Nic, kochanie. Nie warto o tym mówić.
- Widziałem, jak wybiegałaś z domu profesora Balfry'ego, prawda?
- Tak jakby - odparła, nie wiedząc, co powinna synowi powiedzieć.
- Prędeż czy później tata nas tu znajdzie. Większość bojowników Ruchu Oporu trafia tu w końcu. Tata dowie się, że jesteśmy w obozie i zabierze nas stąd.

Spojrzała w oczy syna. Chciała w nich wyczytać, skąd bierze się jego wiara, o wiele większa od jej kruchej nadziei. W głębi jego oczu nie dostrzegła tej czułości, którą promieniowały oczy Johna. Ale był do niego bardzo podobny. Był nieodróżnym synem swego ojca.

- Jak sądzisz, kiedy ojciec nas odnajdzie? - zapytała.
- Prawdopodobnie nieprędko. Nie wiem, czy ustalił, gdzie przebywamy. Może to nastąpi za parę dni, a może za parę tygodni.
- Może za parę tygodni... - szepnęła, wierząc w to naprawdę.

Przygarnęła go do siebie.

- Mamó, wszystko będzie...

- Dobrze - dopowiedziała, trzymając go w ramionach. Millie Jenkins wraz z Billem Mullinerem i jego matką wybierała się na jagody. Michael nie miał ochoty brać udziału w tej wyprawie. Nie lubił jagód ani przedzierania się przez gęste zarośla. Natomiast Ann przyłączyła się do nich chętnie.

Sarah siedziała obok syna w starym samochodzie. Znajdowali się dość daleko od centrum obozu. W tej chwili nie musiała jeszcze wracać do profesora Steela i jego podopiecznych.

- O czym myślisz? - zapytał Michael.
- Sama nie wiem. - Uśmiechnęła się, ale twarz chłopca pozostała niewzruszona.
- Lubię, jak się śmiejesz, Michael. Twój ojciec rzadko się śmiał. Ty musisz to dla mnie nadrobić.
- Co zrobimy, kiedy on nas odnajdzie?
- Nie wiem.

Otoczyła chłopca ramieniem.

- Znajdziemy kryjówkę, w której można przeżyć?
- Przypuszczam, że będziemy musieli się ukrywać, dopóki w naszym kraju będą Rosjanie. Może potem znajdziemy miejsce, gdzie zaczniemy żyć od nowa, tak jak pionierzy Stanów Zjednoczonych - mówiła do niego pogodniejszym głosem. - Zbudujemy dom i będziemy mieli znowu swoje konie. Będziemy zbierać własne plony. Co ty na to?
- Nie będzie elektryczności.

- Twój ojciec znajdzie jakiś sposób, abyśmy mieli prąd; zbuduje małą elektrownię nad jakimś bystrym strumieniem. Poza tym odbuduje się miasta i fabryki, które znowu będą nam dostarczać różnych rzeczy.

- Czy tata wróci do swojej pracy?

- Nie mam pojęcia. Minie jeszcze sporo czasu, zanim pozbędziemy się Rosjan.

- Nienawidzę ich - powiedział Michael ze złością.

- Nie powinieneś - odezwała się po dłuższej chwili. - To są tacy sami ludzie jak my. Wielu z nich nie jest komunistami, ale mają komunistyczny rząd, który rozpoczął wojnę. Nie powinieneś nienawidzić ich wszystkich.

- W takim razie, nienawidzę komunistów.

- Myślę, że ta nienawiść szkodzi przede wszystkim tobie, a nie komunistom.

Spojrzał zaskoczony na matkę.

- Co masz na myśli?

- Walczymy z komunistami i chcemy wygrać tę walkę. Ale to, że żyjemy w nienawiści do nich, może przynieść zwycięstwo właśnie im, nawet jeśli wyrzucimy ich ze swojego kraju. Jeśli kochamy wolność, musimy zdać sobie sprawę z tego, że być wolnym, to znaczy postępować godnie i uczciwie wobec swego kraju i rodaków. Wyrzucając nienawiść z naszych serc, odniesiemy zwycięstwo szlachetniejszym sposobem. Myślę zresztą, że nienawiść nie przyniesie nam nic dobrego. Widzisz, zabierze nam ona czas i nie będziemy go mieli na walkę z komunistami. Właśnie tak się stanie.

- Może to co mówisz, nie jest do końca prawdą - głos Michaela brzmiał poważnie i chłodno. - Spędzasz tyle czasu wymyślając różne frazesy i już sama nie wiesz na pewno, jak powinniśmy postępować.

- Być może - skinęła głową. - Być może... Sięgnęła do kieszeni po zegarek i zerwała się z przerażeniem.

- Muszę pędzić i pomóc wielebnemu Steelowi. Zobaczymy się wieczorem przy kolacji, dobrze?

- Dobrze. - Chłopiec uśmiechnął się. - Ale teraz odprowadzę cię do pastora.

- No to idziemy. - Pomógł jej wysiąść z samochodu.

- Czy wiesz, że jesteś coraz silniejszy?

- Chcesz dotknąć moich bicepsów? - Chcę.

Michael napiął mięśnie, przyjmując kulturystyczną postawę.

- No powiedz teraz, które jest większe i silniejsze? Ja uważam, że prawe ramię.

Dotknęła ostrożnie najpierw prawego, a potem lewego ramienia. Bicepsy były drobne, ale już dosyć twarde.

- Myślę, że prawe - powiedziała. - Ale to oczywiste, gdyż jesteś praworęczny.

- No jasne - przyznał jej rację.

Z uśmiechem podał matce dłoń i poszli w głąb obozu. Słońce chyliło się już ku zachodowi, a niebo czerwieniało jak zwykle. Niepokoiła ją ta coraz intensywniejsza czerwień. Z pewnością John wiedziałby, dlaczego tak się dzieje. Przyglądała się z dumą Michaelowi idącemu obok niej. Był smukły i silny. Kochała go bardzo.

Poczuła ból, zanim uświadomiła sobie huk wystrzału. Spojrzała na ich splecione dłonie, po których płynęła krew. Kula zraniła jej dłoń i przegub dłoni Michaela.

- Michael, synku... upadła przy nim na kolana. Karabiny dudniły ze wszystkich stron. Pociski odbijały się rykoszetem od pojazdów, kołków namiotowych i metalowych naczyń. Rozległy się

odgłosy wybuchu granatów. Nastąpiła potężna eksplozja koło namiotu, w którym przebywała część chorych uciekinierów. Płomienie w jednej sekundzie ogarnęły namiot. Powietrze przeciął krzyk płonących ludzi.

Spojrzała w górę: śmigłowce! Takie, jakie widziała wcześniej, z czerwonymi gwiazdami na kadłubach. Rosjanie. Pomyślała o dłoni Michaela.

- Czy możesz poruszać dłonią? W jego oczach lśniły łzy.

- Mogę, ale czy naprawdę jestem ranny?

- Czy sprawia ci to ból, kiedy nią poruszasz?

- Nie. Zranili mnie tutaj - powiedział z płaczem i dotknął ręką przegubu.

Ściągnęła opaskę z głowy i owinęła ranę syna. Teraz zajęła się swoją ręką. Stwierdziła, że może poruszać palcami i całą dłonią.

- Dobry Boże, jeszcze raz mieliśmy szczęście. Zerwała się z ziemi.

- Uciekaj prędko, Michael!

Śmigłowce krążyły jak głodne owady. Ich karabiny maszynowe nie milkły ani na chwilę, rażąc ogniem uciekających w panice mężczyzn, kobiety i dzieci.

Sarah chciała dotrzeć do swojego namiotu.

- Prędzej Michael, na Boga, prędzej...

Zobaczyła namiot, wokół którego padały pociski. Przy budynku farmy stał David Balfry z pistoletem maszynowym w dłoniach i patrzył w niebo. Usłyszała dudnienie ciężarówek. Obejrzała się. Na końcu głównej ulicy obozu uzbrojeni sowieccy żołnierze zeskakiwali z samochodów. Strzelali bez litości do kobiet, dzieci, członków Ruchu Oporu...

- Mamo!

- Musimy dostać się do namiotu - jęknęła z rozpaczą.

W jednej chwili poczuła potworny strach. Za jej plecami kolejne sowieckie oddziały biegly po obozowej drodze, zabijając kogo tylko się dało. Pastor Steel stał przed swoim namiotem, trzymając w jednej ręce krzyż, a w drugiej Biblię. Krzyczał coś do napastników. Seria z pistoletu maszynowego rozerwała mu głowę. Upadł na wznak.

Byli już przy namiocie. Jednym ruchem wepchnęła Michaela do środka.

- Zbierzemy wszystko, czego potrzebujemy i wrzucimy do plecaka. Prędko!

Pakowała ubranie, trochę żywności, która jej pozostała, zapasową amunicję do „czterdziestki piątki” i poplamione, zabrudzone i pogięte zdjęcia ślubne.

- Mamo! - rozległ się okrzyk przerażenia. Odwróciła się, sięgając odruchowo po swego Trappera 45 i odbezpieczając go. Sowiecki żołnierz podniósł do strzału kałasznikowa. Wypaliła między jego oczy bez zastanowienia.

- O mój Boże! - szepnęła, widząc jego twarz zalaną krwią.

Zabezpieczyła pistolet i wsunęła go do kabury umieszczonej pod pachą. Chwyciła M-16 i wprowadziła pocisk do komory zamkowej.

- Zabieraj całą amunicję! - wrzasnęła, ciągnąc za sobą plecak. Sięgnęła do kieszeni, wyjęła chusteczkę i szybko owinęła nią prawą rękę. Czowała ból, ale najważniejsze, że poruszała palcami. Poprawiła pasy plecaka i zacisnęła dłoń na kolbie M-16.

- Idziemy, Michael. Musimy odnaleźć twoje dziewczynki.

Odchyliła wejście do namiotu i przeszła nad trupem rosyjskiego żołnierza. Śmigłowiec krążył nadal nad środkiem obozu.

Popchnęła syna do przodu.

- Biegnij do ogrodzenia, za którym bawiły się dzieci. Prędeż, prędeż!

Niosła plecak i torbę wypełnioną luźną amunicją. Michael biegł przed nią. Nacisnęła spust, mierząc w pierś napastnika. Biegła dalej, słysząc jego przedśmiertny krzyk. Eksplozja wstrząsnęła znajdującym się za nią namiotem; po obu stronach płonęły również inne. Ktoś wybiegł z najbliższego z nich; była to żywa, wyjąca, ludzka pochodnia. Nacisnęła spust. Długa seria położyła kres straszliwej męce. Krzyk bólu umilkł.

Biegła. Michael biegł cały czas przed nią, był bardzo blisko ogrodzenia.

- Wskakuj prędko do środka i pędź na drugą stronę! Chłopiec prześliznął się pod płotem i pobiegł w drugi koniec zagrody. Dopadła ogrodzenia, wspięła się nań i skoczyła w dół. Natychmiast otworzyła ogień do grupki Rosjan. Pociski uderzały w paliki i deski płotu. M-16 zagrzmiał długą serią. Dwóch żołnierzy upadło na ziemię. Założyła nowy magazynek. Nacisnęła spust, ale karabin nie wystrzelił. Przesunęła dźwignię do przodu. Broń znowu nie wypaliła. Jeden z Rosjan podniósł się i, mimo że był ranny, ruszył w jej kierunku. Rozpaczliwie szarpała dźwignię M-16, ale nie mogła wprowadzić naboju do komory zamkowej.

- Do diabła! - zaklęła głośno.

Rosjanin był dziesięć metrów od niej. Sarah odrzuciła karabin i sięgnęła po „czterdziestkę piątkę”. W ułamku sekundy przesunęła dźwignię bezpiecznika i strzeliła trzykrotnie. Żołnierz przystanął. Kałasznikow wypadł mu z rąk, a on sam upadł na ogrodzenie.

Strzelała nadal, aż uświadomiła sobie, że ciało wroga zwisa przewieszzone przez płot parę cali od jej twarzy. Założyła darowany przez Billa magazynek. W jednej ręce trzymała M-16, w drugiej „czterdziestkę piątkę”.

- Mamo!

Spojrzała przez ramię. Ktoś ciągnął Michaela w zarośla. Podbiegła do płotu po przeciwnej stronie ogrodzenia i z trudem prześliznęła się pod nim.

- Mamo! - To z pewnością głos Ann.

Była znów czujna i gotowa do zabijania słysząc szelest za żywo płotem. Na szczęście poznała rudą czuprynę Billa Mullinera.

- Prędeż, pani Rourke!

Biegła, a nad głową rozlegał się złowieszczy terkot śmigłowca. Padła instynktownie na ziemię. Pociski z broni maszynowej siekły wokół niej. Wreszcie zielony potwór oddalił się.

Podniosła się z trudem i zabezpieczyła „czterdziestkę piątkę”. Zerwała się znów do biegu.

- Jesteśmy tutaj, Sarah! - wołała Mary Mulliner.

Teraz zobaczyła ich wszystkich: Michaela, Ann, Millie Jenkins trzymającą Mary za rękę.

- Stać! - padł rozkaz wypowiedziany z obcym akcentem.

Sarah odwróciła się, przesuwając dźwignię bezpiecznika. Dwóch sowieckich żołnierzy. Nacisnęła spust Trappera. Za plecami usłyszała odgłos wystrzału, „łagodniejszy” od M-16. Rzuciła się na ziemię i strzelała bez przerwy. Słyszała za sobą coraz silniejszą kanonadę. Rosjanin znajdujący się najbliżej niej, zanim upadł, zdążył wypuścić jeszcze serię ze swego AK-47. Drugi żołnierz runął na plecy. Jego ciało podskoczyło jeszcze raz, zanim znieruchomiało na zawsze. Podbiegła do Michaela i Ann stojących przy Billu Mullinerze. Rudy chłopak klęczał na ziemi, a jego matka kryła się w cieniu drzew.

- Bill, co się...

Spojrzała mu przez ramię. Tak, to była Millie Jenkins. Jej ojca zamęczyli bandyci, a matka nie wytrzymując tego, popełniła samobójstwo.

Było to dziecko ciche i potulne. Jej małą główkę rozłupała seria sowieckich kul. Teraz Bill Mulliner kołysał ją martwą w ramionach.

- Bill... Podniósł głowę.

- Słucham.

- Musimy się stąd wynosić.

Podala chłopakowi jego broń, a swój M-16 wręczyła Michaelowi.

- Oszczędzaj amunicję. Połączcie parę magazynków w jeden.

Przypomniała sobie teraz, jak John powtarzał często, że najważniejszy jest pakiet magazynków w czasie bitwy.

- Bill...

- Musimy ją pochować, proszę pani.

- Zabierz ją. Pochowamy ją później. Ruszajmy natychmiast! - rozkazała i popchnęła swoje dzieci w kierunku drzew, wśród których czekała na nich Mary Mulliner.

Bill niósł zabita dziewczynkę, jakby obojętny na wszystko, co się wokół niego działo.

Sarah Rourke strzelała to w lewo, to w prawo. Brakło jej tchu i bolały wszystkie mięśnie. Zewsząd otaczali ich Sowieci, ale wiedziała, że będzie mogła biec jeszcze długo, bardzo długo.

ROZDZIAŁ LIX

Cole szedł w milczeniu, patrząc ponuro przed siebie. Rourke ciągle mu nie ufał. „Przynajmniej zamknął gębę po naszej bójce” - pomyślał. Natalia trzymała się dzielnie, ale widać było, że jej krok nie jest już tak sprężysty, jak na początku wyprawy. Rubenstein niósł jej niewielki plecak, a John wziął od niej M-16. Jedyne jej obciążenie stanowiły dwie kabury z pistoletami, podarowanymi przez prezydenta, Sama Chambersa. Wydawało mu się, że jest jej zimno. Miała na sobie kurtkę z kapturem naciągniętym na głowę. Nie widać było jej ciemnych, długich włosów, zwykle opadających na ramiona. Bardzo lubił patrzeć na jej włosy.

- Jak daleko jeszcze do celu, doktorze? - zapytał O'Neal.

- Powinniśmy ujrzeć Filmore po pokonaniu tego wzniesienia, a potem czeka nas jeszcze tylko parę godzin marszu.

- Nie sądzę, aby major Tiemerowna wytrzymała ten trud.

- Martwię się o nią również. Zrobimy postój i prześpimy się trochę. Natalia potrzebuje odpoczynku, tak jak my wszyscy.

Spojrzał na zegarek. Za godzinę będzie ciemno i wtedy już powinni wypoczywać. Jeszcze dziesięć minut marszu, a potem przed zapadnięciem zmroku przygotowują obozowisko i wystawią wartę. Do tej pory nie dostrzegli żadnych oznak obecności dzikich. Nawet szósty zmysł Rourke'a nie zwiertzył żadnego niebezpieczeństwa. Przez cały dzień pokonali spory kawałek drogi.

- Jak pan myśli, czy ci szaleńcy wiedzą, że tu jesteśmy? - zapytał porucznik.

- Tak - odparł doktor.

- Zaatakują nas?

- Sądzę, że tak. Czekają na odpowiednią chwilę. Przystanął. Czerwono zachodzące słońce oświetlało wierzchołki skał. Popatrzył chwilę w górę i znowu ruszył naprzód miarowym krokiem.

- Poruczniku O'Neal, niech pan powie swoim ludziom, żeby byli przygotowani na wszystko i mieli oczy i uszy szeroko otwarte. Prawdopodobnie mamy już towarzystwo.

O'Neal spojrzał w górę.

- Są tam, na skałach po lewej stronie.

John przyspieszył kroku i zrównał z Natalią i Rubensteinem.

- Tam - rzucił przez zęby, wyciągając rękę w stronę skał.

Natalia spojrzała na niego zaskoczona.

- Będzie ci potrzebna broń, Natalio. - Podał jej M-16.

- Tam w górze? - Rubenstein nie zwalniał kroku.

- Widziałem, jak coś odbija się w słońcu.

- Może strzelba w rękach człowieka - powiedział Rourke.
- No to czeka nas znów rozróżba - jęknął Paul.
- John, jeśli będziesz musiał... Jestem dla was ciężarem...
- Cicho bądź, kobieto - odparł z uśmiechem.

Cole nadchodził na czele oddziału. Rourke zbliżył się powoli do kapitana.

- Słuchaj, Cole. Mamy towarzystwo tam w górze. Nie przerywajcie marszu. Idźcie spokojnie.
- Gównu mnie to obchodzi. Gdybyśmy nie wzięli tej kobiety, byłibyśmy już daleko stąd.
- Zamknij się i posłuchaj. Ci ludzie nie szli za nami. Oni otaczają ze wszystkich stron Bazę Wojsk

Lotniczych w Filmore. Wnioskuje z tego, że ktoś tam pozostał przy życiu. Będziemy musieli przemknąć przez ich posterunki.

- Czuję się, jakbym miał dziesięć lat i bawił się w Indian i kowbojów - mruknął Cole.

- Dobrze porównanie. Kiedy zacznie się walka, zajmiecie pozycje z dwóch stron wąwozu i otworzycie ogień na skały. Ja w tym czasie wyprowadzę stąd pozostałych. Następnie wraz z Rubensteinem będziemy was osłaniać, kiedy zaczniecie opuszczać wąwóz. Musimy dotrzeć do Filmore tak szybko, jak tylko będzie to możliwe.

- Co zrobimy z tą kobietą?

- Niech cię o to głowa nie boli. Będę ją niósł, jeśli będzie potrzeba. Jest pod moją opieką, a ty rób, co do ciebie należy.

Doktor zwolnił kroku i skierował wzrok na górne partie skał. Zdawało mu się, że dostrzegł tam jakiś ruch, ale nie był o tym do końca przekonany. Pomyślał, że odbicie światła, które widział poprzednio, mogło mieć zupełnie inne źródło. Na przykład jakiś wędrowiec wyrzucił pustą butelkę, a deszcze wymyły szkło, od którego odbiło się słońce. Jednak instynkt podpowiadał mu co innego. Obejrzał się i zwolnił kroku, aby Natalia i Paul mogli do niego dołączyć. Za wzniesieniem, które teraz pokonali, wąwóz zwążał się znacznie. Jeśli przygotowano zasadzkę, to atak powinien nastąpić właśnie teraz. Nie mieliby innej drogi ucieczki, jak tylko w głąb coraz bardziej zwążającego się wąwozu.

- John... - W oczach Natalii zobaczył niepokój. - Co się z tobą dzieje?

- Czuję ich nad nami. Są gotowi.

- Tak, ja również - potwierdził Rubenstein.

- Kiedy to się zacznie, Paul, bierz Natalię i zmykajcie j w głąb wąwozu.

- Sama sobie poradzę.

- Paul, rób, co ci każe. Czekać w głębi wąwozu, aż nadejdziemy z O'Nealem i jego ludźmi. Natalia będzie trzymać się O'Neala, a my będziemy ich osłaniać.

Rozległ się ciężki grzmot wystrzału, przypominający odgłos broni myśliwskiej dużego kalibru. Ściany wąwozu odbiły jego echo. Rozległo się niesamowite wycie.

- Trafili jednego z moich ludzi! - krzyknął O'Neal. Rourke odbezpieczył CAR-15 i rozłożył jego składaną kolbę.

- Biegnijcie! - wrzasnął, osłaniając ich ogniem, który skierował w górę wąwozu.

- Prędeż, Natalio - Rubenstein ciągnął ją za rękę. Nie patrzył już na nich. Coś poruszało się wśród skał.

Wypuścił trzy pociski. Człowiek spadł na skalną półkę. Szukał kolejnego celu, ale czuł, że sam jest na muszce. Pociski padały wokół; uderzały w skały odłupując kawałki granitu. Dostrzegł człowieka ze strzelbą, prawdopodobnie snajpera, który zabił żołnierza O'Neala. Posłał mu dwie

krótkie serie. Ciało strzelca pochyliło się ku ziemi, broń wypadła mu z rąk, a on sam runął w końcu gdzieś między skały.

Biegł teraz dnem wąwozu. Paul i Natalia zniknęli już w zwiężeniu przypominającym literę V. Cole i jego podwładni strzelali bez przerwy do widocznych na skałach przeciwników. Ludzie O'Neala pędzili w jego kierunku.

- Niech się nie zatrzymują, poruczniku!

O'Neal odkrzyknął coś w odpowiedzi, ale jego głos zagłuszyła kanonada. Rourke zbliżał się do zwiężenia wąwozu, ostrzeliwany bez przerwy przez znajdujących się w górze napastników. Na jego głowę sypały się odłamki granitu i drobny pył skalny. Przywarł na chwilę do skały i oddał trzy strzały, nie dbając o to, czy pociski trafią kogokolwiek. Zebrał się i wycelował, tym razem dokładnie. Ciało stoczyło się po stoku, aż zniknęło w rozpadlinie.

Strzelił do drugiego dzikusa, ale chybił. Długa seria przeleciała nad jego głową i uderzyła w skałę, za którą się ukrywał.

Nacisnął spust. Dwa, jeszcze raz dwa i jeszcze dwa pociski... Człowiek w górze runął na plecy. Doktor ruszył naprzód. O'Neal i jego grupa byli tuż za nim. Nie było Cole'a i jego ludzi. Rourke padał i przetaczał się po ziemi, uważając na rykoszety pocisków.

- John! Tutaj!

Dotarł do Rubensteina, to biegnąc, to znów skacząc pomiędzy szarymi blokami skał. Paul osłaniał go. John błyskawicznie wymienił magazynki i podniósł broń. Dzicy zajmowali pozycje nad ich głowami. Każdy strzał to jeden martwy człowiek. Wziął na muszkę postać z długimi włosami, nie wiadomo, mężczyznę czy kobietę. Postać upadła.

- Gdzie jesteś, Cole?! - Starał się przekrzyknąć kanonadę. M-16 Rubensteina pluł ogniem coraz intensywniej.

Rourke poczuł gorącą łuskę z broni Paula na swej szyi, a następna spadła na jego przedramię. Strzelał. Kolejny dzikus, nie bacząc na nic, stał odkryty na wierzchołku skały. Dwa strzały i runął w dół ze straszliwym wrzaskiem.

- Jesteśmy! - To nadbiegał Cole i jego żołnierze. Ostrzeliwali się rozpaczliwie. Doktor złożył się do strzału i trafił w kudłatą głowę, wychylającą się zza krawędzi skały.

- Ruszajmy, John - powiedział Rubenstein, zmieniając magazynek. - Cole jest już tutaj.

- Leć pierwszy - warknął Rourke.

Począł, aż jego przyjaciel zniknie w głębi wąwozu i dopiero wtedy ruszył naprzód, odwracając się co chwilę i ostrzeliwując skały. Wąwóz stawał się wąziutką szczeliną, która skręcała w prawo i opadała nieco w dół. Nie ustawał stukot pocisków.

Przystanął. Umilkły dźwięki rykoszetów odłupujących kawałki granitu. Uświadomił sobie, że jest poza zasięgiem strzałów. Tutaj kończyła się wąska szczelina wąwozu. Spojrzał przed siebie. Rozpościerała się przed nim dolina. U wylotu wąwozu siedziała Natalia, z głową opartą na kolanach. Na jej bladej twarzy malowało się zmęczenie. Rubenstein i porucznik O'Neal zatrzymali się przy niej zdyszani. Z ramienia porucznika płynęła krew, ale trzymał się jeszcze na nogach. Jeden z żołnierzy leżał na ziemi, a jego odzież była czerwona od krwi.

W głębi doliny widniała ogrodzona wysokim płotem Baza Wojsk Lotniczych Filmore. W północnej części doliny znajdowało się kilka lejów wyrwanych w ziemi. Nie widać było żadnych oznak życia. Wszędzie rosły martwe drzewa, a ziemię pokrywała brunatna trawa. Do uszu nie docierał świergot ptaków.

- Radioaktywność była tu w normie. Co, do diabła, się wydarzyło? - Paul spojrzał pytająco na doktora.

- Bomba neutronowa. Te kratery lub leje powstały wskutek jej działania.

- John. - Natalia zamknęła oczy i obróciła twarz ku słońcu. - Dlaczego oni przestali strzelać?

Dlaczego nie idą za nami?

- Boją się promieniowania. Wszystko w dolinie jest martwe. Może żyje ktoś z personelu bazy, ukryty w schronie?

Rozejrzał się jeszcze raz dookoła. Jak musiało tu być zielono przed wybuchem wojny. A teraz widać tylko śmierć.

Trzeba pomyśleć o rannych. Człowiek leżący na wznak wyglądał na najbardziej potrzebującego pomocy.

- Jeśli masz dosyć sił, Natalio, zajmij się ranami O'Neala.

Rourke podszedł do rannego, który pełnił funkcję ogniomistrza na łodzi podwodnej. Doktor złapał go za przegub ręki, chcąc sprawdzić puls. Już nie żył.

„Jeśli nawet głowice pocisków znajdują się wewnątrz, bazy, to przetransportowanie ich na okręt pod ostrzałem hordy jest praktycznie niewykonalne” - uświadomił sobie nagle Rourke. „Poza tym, ten tajemniczy Cole...”

Przymknął powieki marynarza. Wstał i zdjął okulary przeciwsłoneczne.

- Odpoczniemy trochę i opuścimy tę dolinę za parę godzin. Paul i ja sprawdzimy raz jeszcze poziom radioaktywności.

Ujrzał następnego rannego i natychmiast pochylił się nad nim. Szybko stwierdził, że jego życiu nie zagraża niebezpieczeństwo. Pomyślał w tej chwili o swojej żonie i dzieciach. Czy żyją jeszcze? Czy jest ktoś, kto czuwa nad nimi? Zamknął oczy i powiedział sobie, że żyją i on ich na pewno odnajdzie. Otworzył oczy i oglądał uważnie ranę leżącego.

- Paul, podaj moją torbę z narzędziami chirurgicznymi. Muszę wyjąć kulę.